

WALERY PRZYBOROWSKI

BITWA POD RASZYNEM

WARSZAWA NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA

BITWA POD RASZYNEM



Z dobytymi pałaszami otoczono Janka.

WALERY PRZYBOROWSKI

BITWA POD RASZYNEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
DLA MŁODZIEŻY

WYDANIE CZWARTE
Z 6-MA RYCINAMI KONST. GORSKIEGO

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ROZDZIAŁ I

w którym czytelnicy zapoznają się z bohaterem powieści i z rotmistrzem von Lampe.

W dniu 13 kwietnia 1809 r. we dworze wsi Łęgonice, leżącej niedaleko Nowego-Miasta nad Pilicą, ruch był niezwykły. Na dziedzińcu stały karabiny żołnierskie, ustawione w kozły, koło płotów parskały konie rzędem uwiązane u kołków, osiodłane i gotowe do marszu, na środku podwórza warzyło się jedzenie w niewielkich kotłach, kręciło się mnóstwo żołnierzy, krzyżowały się rozkazy, rozlegały się śpiewy, krzyki, brzęk szabel... Co chwila na wielki ganek dworu, wsparty na dwóch słupach murowanych, wybiegał ze środka jaki oficer, w kapeluszu z piórami, świecący cały od złota i donośnym głosem wydawał rozkazy, po których zwykle kilku żołnierzy dosiadało koni i wyjeżdżało pędem w różne strony. Służba dworska biegała tu i tam, potrącana i szturkana przez żołnierzy, którzy przytem głośno odgrażali się po nie-

miecku, gdyż były to wojska austryackie, że dadzą się Polakom we znaki.

Robił się już wieczór i z niedalekiej Pilicy wznosiły się białe mgły. Od zachodu pokazało się kilka chmurek, które rosnąc coraz bardziej, wraz z zapadającą szybko ciemnością, pokryły całe niebo, i wkrótce zaczął padać drobny a gęsty deszczyk. Noc zrobiła się niezmiernie ciemna i ponura, wśród której żołnierze kręcący się koło ogniska, na środku dziedzińca, wyglądali jak krwawe widma. Wszystkie okna dworu oświecone mocno, nie mogły rozjaśnić posępnych ciemności dżdżystej nocy. Później zerwał się wicher, który miotając gałęziami drzew, nadawał całości obrazu jeszcze smutniejszy charakter.

Kiedy deszcz rozpoczął na dobre padać, wszedł z dziedzińca do dworu mały chłopiec, liczący może dziesięć lat wieku. Był to chłopczyna smukły, rumiany, z wielkiemi niebieskiemi oczami, z jasnoblond główką. Z sieni, nie namyślając się wiele, widocznie dobrze obznajmiony z rozpołożeniem dworu, otworzył drzwi na lewo i wszedł do niewielkiego pokoju, oświeconego kilku woskowemi świecami. Pod oknem koło stołu, założonego mapami i różnymi papierami, siedziało kilku oficerów austryackich i żywą ze sobą prowadziło rozmowę.

Chłopczyna przemknął się cicho przez ten pokój, nie zwracając na siebie uwagi i wszedł przez

drzwi w głębi, które to drzwi zostawił nieco otwarte, dlatego, żeby mieć trochę światła w maleńkiej, ciemnej izdebce, do której teraz wszedł. Tu namacał łóżeczko swoje i usiadł na niem, nie zapalając wcale świecy i w głęboką pogrążył się zadumę. Wprost niego znajdowało się okno, przez które widział drzewa sadu, krwawo oświecone od wielkiego ogniska, jakie rozpalili w środku ogrodu żołnierze. W pokoiku była cisza zupełna, ze dworu tylko dochodził jednostajny plusk deszczu, gwar żołnierzy i rozmowa oficerów z sąsiedniej komnaty. Przez uchylone drzwi, widział Janek, bo tak się nazywał chłopiec, koniec szabli jednego z oficerów, gorejącej wielkim blaskiem od świec. W swej samotnej zadumie patrzał się na krwawe drzewa od krwawego ogniska, na ową szablę świecącą jak roztopione srebro, nadsłuchiwał plusku deszczu i żywej rozmowy oficerów.

A miał biedaczek o czem myśleć. Sierota, żyjący na łasce bogatego stryja, który w obawie bliskiej wojny, przed kilku dniami wyjechał za granicę z całą rodziną, został Janek prawie sam jeden w tym wielkim dworze, zapomniany i porzucony na wszystkie niebezpieczeństwa czasów wojennych. Oprócz niego była jeszcze we dworze stara klucznica Boguszewska, która wobec nagłego najścia wojsk austryackich na Łęgonice, zajęta wydawaniem żywności, nie miała ani chwili wolnej do pomyślenia o Janku. Reszta służby rozbiegła

się — w stajni tylko przy koniach był Marcin, niegdyś masztalerz, dziś starzec ledwo mogący powłóczyć nogami. Nie dziw zatem, że nie miał kto myśleć o Janku. Biedny chłopczyna przepędził cały dzień na dworze i w ogrodzie, przypatrując się żołnierzom austryackim, którzy przyszli do Łęgonic rano i gotowali się za parę dni przejść Pilicę pod Nowem-Miastem, żeby wkroczyć do Księstwa Warszawskiego. Chodząc tak Janek, przypatrywał się wszystkiemu ciekawie, żywiąc się chlebem, który udało mu się schwycić w kuchni, potrącany przez żołnierzy, nie zwracając na siebie wśród tego zamętu niczyjej uwagi. Teraz, po całodziennej włóczędze po dworze, wślizgnął się do swojej izdebki i usiadłszy po ciemku na łóżku, znużony i głodny zamyślał iść spać. Oczy mu się kleiły, wrzawa panująca dokoła powoli zlewała się w jeden monotonny hałas i już miał zasnąć, gdy nagle uderzyło jego słuch nazwisko księcia Poniatowskiego, wyrzeczone głośniej w sąsiednim pokoju przez oficerów.

Janek, który był chłopcem pojętnym i rozwiniętym nad swój wiek, wiedział dobrze, że książę Józef Poniatowski jest naczelnym wodzem wojsk Księstwa Warszawskiego, z któremi Austryacy właśnie gotowali się prowadzić śmiertelną walkę. Zaciekawiony, co też mogą Austryacy mówić o księciu, o którym od starego Marcina wiele słyszał, Janek podniósł głowę i nadstawił uszów. Oficero-

wie mówili głośno, nie spodziewali się zapewne, że ich kto słyszy, a chociaż rozmawiali po niemiecku, dla Janka nie stanowiło to trudności, gdyż dobrze znał ten język, nauczywszy się go od bony Niemki, która przyjęta do dzieci stryja, dla obznajmienia ich z niemczyzną, rozmawiała także z Jankiem po niemiecku. A że, jakeśmy już powiedzieli, chłopiec był bardzo pojętny, szybko więc nauczył się mówić tym językiem, którego dzieci stryja mozolnie uczone, zrozumieć jeszcze nawet nie mogły. Dzięki więc temu z łatwością mógł wysłuchać, co mówią w sąsiednim pokoju oficerowie austryaccy.

— A więc tak rzeczy stoją, mówił jeden z nich głosem podniesionym, rozkazującym, widocznie starszy między nimi — a więc, jak nam doniósł ten huncfot żyd, książę Poniatowski jest w Nadarzynie, miejscowości oddalonej stąd niespełna o ośm mil, a nawet bliżej, jeżeli udamy się bocznemi drogami, nie gościńcem...

— Tak, jenerale — wtrącił inny głos — ale trzeba znać te boczne drogi. W tym przeklętym kraju łatwo zabłądzić, a wtedy...

— Mości rotmistrzu — odezwał się na to poważnie jenerał — wszystko przewidziałem i bądź pewny, że nie pobłądzisz. Otoż, moi panowie, książę Poniatowski jest w Nadarzynie, zaledwie z półplutonem ułanów, niespełna dwadzieścia koni — i nie myśląc wcale o wojnie, bawi się w najlepsze, spokojny i pewny. Na jutro nawet jest nakazane

wielkie polowanie w parku Nadarzyńskim... Sam Bóg go nam daje w ręce, moi panowie. Ze schwytaniem naczelnego wodza wojsk Księstwa Warszawskiego, wojna dla nas będzie prostą przechadzką — nikt nam nie będzie śmiał stawić oporu. Cel ten jest istotnie godny ofiary.

Tu mówiący jenerał odetchnął i tak dalej ciągnął:

— Waćpan, panie rotmistrzu von Lampe, weźmiesz trzy szwadrony huzarów węgierskich, szwadron Pandurów i trzy działa artyleryi konnej — wyruszysz stąd o godzinie dwunastej w nocy, przeprawisz się przez Pilicę po moście w Nowem-Mieście i szybkim marszem udasz się do Nadarzyna. Tu masz marszrutę. Pójdziesz drogą najprostszą na wsie Jajkowice, Błędów, Michrów, Ojrzanów do Nadarzyna, ogółem siedem do ośmiu mil polskich. Przy szybkim pochodzie, nie zatrzymując się nigdzie, powinieneś być w tej miejscowości jutro rano o godzinie szóstej, lub siódmej najpoźniej. Rozproszysz ułanów, weźmiesz księcia Poniatowskiego do niewoli i odpocząwszy godzinę, ruszysz do nas z powrotem, zachowując wszelkie ostrożności. Spodziewam się twego powrotu jutro około godziny czwartej lub piątej po południu. Będę cię czekał z niecierpliwością. Tu masz mapę, przypatrz się drodze twego pochodu

Rozległ się szelest rozwijanego papieru i chwilowa cisza zapanowała w pokoju. Łatwo zrozu-

mieć, z jakiem wzruszeniem wysłuchał tej rozmowy biedny Janek. Zrazu nie pojmował o co idzie — ale wkrótce oprzytomniał i słowa jenerała austryackiego stały się dla niego jasne, bardzo jasne. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Chcą porwać księcia Józefa, tego bohatera, który tyle świetnych czynów dokonał, chcą go schwytać, zakuć może w kajdany, ubezwładnić cały naród, który pozbawiony swego wodza, jak stado owiec bez pasterza, nie będzie mógł, nie będzie śmiał nigdzie stawić dzielnego Niemcom oporu! I Niemcy znów zapanują nad nami, ci Niemcy, których Janek nienawidził, o których stary Marcin w cichych wieczornych pogadankach tyle strasznych rzeczy opowiadał! Janek czuł, że wszystka krew w nim się burzy, chciał wypaść do oficerów austryackich, knujących tak niecne plany, chciał stanąć przed nimi i powiedzieć im:

— Nie panowie, to jest rzecz niegodna rycerzy chwytać podstępnie bezbronnego nieprzyjaciela. Idźcie naprzeciw tego księcia wtedy, kiedy stanie na czele swych wojsk, walczcie z nim, a on wam pokaże, jak się to umiera z szablą w ręku w obronie własnego kraju.

Chciał im to powiedzieć i tysiące innych podobnych rzeczy, wrzał gniewem i uniesieniem, i już podniósł się z łóżka, gdy po chwilowej ciszy odezwał się znowu poważny głos jenerała:

— Dam panu, rotmistrzu von Lampe, dobrego

przewodnika, żebyś nie pobłądził w tym przeklętym polskim kraju. Przewodnikiem tym jest żyd Herszek, który doniósł mi właśnie o pobycie księcia Poniatowskiego w Nadarzynie. On pana doprowadzi bezpiecznie. A teraz — tu powstał jenerał — rozejdźmy się panowie. Rotmistrzu von Lampe! ufam twej dzielności i odwadze, że dokonasz tego znakomitego dzieła, które zmieni losy świata. Bądź pewny, że cesarz będzie o tem wiedział i że czeka cię wielka nagroda.

— Zrobię wszystko jenerale, odrzekł ponurym, suchym głosem rotmistrz — zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Gdy to rotmistrz mówił, Janek korzystając z brzęku szabel i szelestu spowodowanego powstawaniem oficerów, przysunął się do drzwi i ujrzał rotmistrza von Lampe, kłaniającego się jenerałowi. Rotmistrz był to wysoki i chudy jak tyczka mężczyzna, z wielką rudą głową, takiemiż faworytami i dwojgiem maleńkich, siwych, głęboko osadzonych oczów. Z pod krzaczastych, rudych brwi patrzały te oczy chytrze, podstępnie, a na wązkich ustach wieszał się szkaradny uśmiech szyderstwa. Ubrany w jaskrawy mundur huzarski, obcisły i suto szamerowany złotem, stał wsparty na szabli i kłaniał się pokornie jenerałowi. Wkrotce ten ostatni wyszedł a za nim i inni — i Janek został sam.

Przez chwilę patrzał nieruchomy przez uchylone drzwi na pokoj, oblany jasnem światłem

kilku świec, na stół przykryty zielonem suknem, na którym walały się rozmaite papiery, na krzesła porozsuwane w różne strony, patrzał i nie mógł zebrać myśli. Był oszołomiony strasznym projektem, którego mimowolnie dopiero co wysłuchał. Cała jego dusza oburzała się na tych rycerzy austryackich, ktorzy umieją tylko walczyć podstępem i chytroscią.

— To nikczemne! — szeptał.

Ale wkrótce oprzytomniał, uspokoił się i począł zimno rozmyślać nad tem co usłyszał. Przedewszystkiem widział, że trzeba koniecznie zawiadomić księcia Józefa — to było rzeczą jasną, niezbędną, jeżeli wódz nie miał wpaść w ręce nieprzyjaciela, a z wodzem kraj cały. Jakże tu jednak zawiadomić księcia? Janek jak żyje nigdy nie był w Nadarzynie. Siedm mil; przestrzen ta wydawała mu się niezmierzoną. Nigdy nie wyjeżdżał z Łęgonic dalej, jak do Nowego-Miasta — nie miał wyobrażenia, jak można tak wielką przestrzeń przejechać. A jednak czuł konieczność, nieuniknioną konieczność zawiadomienia księcia Józefa o zamachu, jaki na niego gotują Austryacy. Z początku chciał powiedzieć o wszystkiem Marcinowi, ale po namyśle porzucił ten zamiar. Marcin głuchy, nie dosłyszałby dobrze, a krzyczeć przecież nie można, kiedy po całem obejściu dworskiem, po całej wsi pełno żołnierzy austryackich, pomiędzy ktorymi jest wielu Polaków, rodem z Galicyi. Odrzuciwszy

ten pomysł jako niepraktyczny i niebezpieczny, Janek począł w głowie szukać innej jakiej osoby, którejby się mógł poradzić. Ale nikogo nie znalazł, już dla tego samego, że nikogo oprócz Marcina i klucznicy nie było we dworze.

Wówczas postanowił sam jechać. Zerwał się z łóżka, na którem siedział i zawołał:

— Bóg tak chce — nie napróżno słyszałem tutaj cały projekt tej wyprawy. Ja pojadę — w imię Boże!

Żwawo schwycił czapeczkę, zarzucił na siebie watowany płaszczyk, przeżegnał się i wybiegł ze swej izdebki.

ROZDZIAŁ II

w którym jest opowiedziane, jak dzielny Janek został zamknięty w piwnicy.

Kiedy Janek przebiegł przez pokój, w którym przed chwilą oficerowie austryaccy odbyli swoją naradę, zegar zawieszony na ścianie wybił godzinę jedenastą.

— Muszę się spieszyć — szepnął do siebie Janek — jeżeli mam uprzedzić Austryaków.

Już chwytał za klamkę od drzwi prowadzących do sieni, kiedy przypomniał sobie, że jenerał austryacki, wydając rozkazy rotmistrzowi von Lampe, pokazywał mu mapę, na której oznaczone były wszystkie wsi, któremi podjazd miał maszerować do Nadarzyna. Wprawdzie Janek doskonale zapamiętał nazwiska tych wsi, ale pomyślał sobie, że lepiejby było mieć mapę pod ręką. Spojrzał na stół, przy którym siedzieli oficerowie i ujrzał na nim mnóstwo papierów.

— Może tam jest i mapa! — pomyślał.

Obejrzał się trwożliwie dokoła i na palcach, z biciem serca, tłumiąc oddech w sobie, zbliżył się do stołu. Jakoż w rzeczy samej leżała na nim roztwarta mapa, a na niej czerwonym ołówkiem podkreślone były nazwiska tych wsi, któremi podjazd miał maszerować. Janek ucieszony tem niezmiernie, żwawo złożył mapę i wsunął ją do kieszeni, poczem rozglądając się po stole, spostrzegł duży list, zapieczętowany czerwonym lakiem i zaadresowany po niemiecku, do jakiegoś pana Szulca w Warszawie.

Wziąwszy ten list Janek do ręki, począł rozmyślać.

— Przecież Warszawa jest stolicą Księstwa — mówił sobie — tego Księstwa, z którem Austryacy toczą obecnie wojnę. Jeżeli więc ten gruby jenerał pisze list do jakiegoś pana Szulca, oczywiście Niemca zamieszkałego w Warszawie, to samo się rozumie, że ten Szulc musi być w związku z Austryakami, a zatem nieprzyjacielem Polaków. Trzeba ten list zabrać i pokazać go księciu Józefowi.

I nie namyślając się wiele, wsunął list do kieszeni. W tejże chwili podniósł oczy i spostrzegł, że stoi wprost okna wychodzącego na dziedziniec dworski, okna niczem nieosłonionego, że zatem z podwórza wszystko doskonale widać, co się wewnątrz pokoju dzieje.

— Nuż mię kto zobaczył! — pomyślał Janek

i śmiertelny pot go oblał, a nogi tak pod nim drżały, że musiał ręką oprzeć się o stół. Wkrótce jednak odzyskał odwagę i ruszył ku drzwiom, ale zaledwie je otworzył, kiedy spotkał w nich tłustego jenerała i wychudłą postać rotmistrza von Lampe, który patrzał na chłopca swemi maleńkiemi, siwemi oczkami i uśmiechał się szydersko. Jenerał położył na ramieniu Janka swą ciężką, tłustą rękę i rzekł:

— Halt!

A rotmistrz von Lampe zbliżył się zaraz do skamieniałego ze strachu chłopca, rozpiął płaszczyk, sięgnął ręką swą, podobną do szponów jastrzębia, do kieszeni Janka i wydobył z niej mapę i list. Uśmiechnął się szydersko i pokazując te papiery jenerałowi, rzekł po niemiecku:

— Oto co ukradł ten mały złodziej.

Janek usłyszawszy tego szkaradnego rotmistrza, jak go nazwał złodziejem, zarumienił się od oburzenia. On złodziejem! on, który chce przeszkodzić niegodnej, podstępnej napaści na bezbronnego księcia, on, który chce ocalić kraj, on nazwany jest złodziejem!... Czuł, że mu wszystka krew zawrzała w żyłach. Z okiem zaiskrzonem, z rumieńcem na twarzy, ze ściśniętemi pięściami, posunął się ku rotmistrzowi, który stał, patrzał na Janka swemi maleńkiemi oczkami i śmiał się, ale tak jakoś strasznie, tak cicho, że nie było słychać tego śmiechu wcale, poznać go tylko było można po

lekkich drganiach piersi Austryaka. Kiedy Janek postąpił ku niemu, zapytał wciąż śmiejąc się, swym suchym, ponurym głosem, zawsze po niemiecku:

— Nu... mały złodzieju, co mi powiesz?

Janek już otwierał usta, żeby wybuchnąć słowami oburzenia, kiedy nagle przyszło mu na myśl, że jeśli chce ocalić i siebie i księcia Józefa, powinien udawać, że nie umie wcale po niemiecku. Uspokoił się więc, obrzucił pogardliwym wzrokiem śmiejącego się wciąż rotmistrza, ruszył ramionami i skierował się ku drzwiom. Ale jenerał schwycił go za ramię swą ciężką, grubą łapą i krzyknął donośnie:

— Halt, du Spitzbube!

A potem dalejże mówić po niemiecku:

— Gadaj zaraz, na co ukradłeś tę mapę i ten list? hę, skąd się tu wziąłeś łotrze jakiś? Skąd ty jesteś, hę? gadaj mi zaraz, bo zawołam żołnierzy i każę cię orżnąć jak kota.

Nachylił swą dużą, czerwoną twarz tak blizko Janka, że biedny, przerażony do najwyższego stopnia chłopiec, czuł na swojej twarzyczce dotknięcie wielkich wąsisków jenerała. Ten trzymał go wciąż za ramię, ściskając je jak kleszczami i trząsł chłopcem jak pomiotłem. Ale Janek był zuch nie lada. Nie stracił wcale przytomności i choć blady, przerażony, połykając łzy, których się wstydził, rzekł spokojnie:

— Ja nie umiem po niemiecku — ja nie wiem co pan chce odemnie.

— Co on mówi? — zapytał jenerał zwracając się do rotmistrza.

Ten ruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, zapewne nie rozumie po niemiecku.

Powiedziawszy to, rotmistrz dobył zegarka, spojrzał na niego i rzekł:

— Panie jenerale, już czas na mnie — kwadrans na dwunastą, mam jeszcze wiele do załatwienia przed wyruszeniem. Proszę o mapę, która będzie mi potrzebną. Z tym malcem, dodał wskazując na Janka — później się pan jenerał załatwi, zwłaszcza, że trzeba będzie tłomacza. Łatwo go pan jenerał znajdzie między żołnierzami z Galicyi, tylko nie dziś, gdy wszyscy już śpią, są bardzo znużeni i szkoda ich budzić dla takiego głupstwa.

— Masz racyą rotmistrzu — i ja sam jestem znużony bardzo — rzekł jenerał, ziewając głośno. — Masz tu mapę i jedź z Bogiem.

Podał rękę rotmistrzowi, który ukłonił się, rzucił szyderskim wzrokiem na Janka i wyszedł. Jenerał tymczasem przeszedł się parę razy po pokoju, spojrzał na stojącego wciąż nieruchomie chłopca, ziewnął, przeciągnął się niedbale i uchylając drzwi od sieni, krzyknął głosem donośnym:

— Franc!

Na ten głos stanął we drzwiach żołnierz, ubrany

po huzarsku, ogromny jak sosna, wyprostowany jak struna, z olbrzymimi wąsiskami, z twarzą czarną i krostowatą.

— Franc — rzekł jenerał — weźno tego małego hultaja i zamknij go gdzie dobrze na noc, a przy drzwiach postaw straż, żeby nie uciekł.

— Dobrze panie jenerale — mruknął Franc i zbliżył się do Janka.

— A gdzież go ty zamkniesz? tu przecież w tym polskim dworze niema więzienia — hę, gdzie go zamkniesz?

— Nie wiem panie jenerale — mruknął znowu jak niedźwiedź Franc.

— Iii — syknął jenerał — jakiś ty głupi! no, gdzie go zamkniesz ośle?

— Hm! panie jenerale — mruczał Franc drapiąc się po głowie — to prawda, że ja jestem osioł, kiedy nie wiem, gdzie tego małego hultaja zamknąć.

Jenerał począł znowu chodzić po pokoju, zamyślony, poczem nagle stanął przed Francem i rzekł:

— Przecież tu musi być jaka piwnica?

— A jest, jest panie jenerale — mruknął Franc — i tam są dobre wina, oto zaraz z sieni jest do niej wejście, tam można zamknąć tego małego hultaja, żeby tylko...

— Co, żeby tylko?

— Ale... bo to widzi pan jenerał — mruczał

Franc przestępując z nogi na nogę — tam jest dużo, bardzo dużo wina, wybornego wina, prawdziwego Tokaju...

— Więc co?

— Więc panie jenerale boję się, żeby ten mały hultaj nie wypił tego dobrego, tego bardzo dobrego wina... młodzieży wino szkodzi....

— Głupiś! — krzyknął jenerał.

— Ja to wiem panie jenerale, że jestem głupi.

— Więc kiedy wiesz, to milcz i słuchaj!

Franc wyprostował się, wytrzeszczył swe duże czarne oczy i stał tak nieruchomie przy drzwiach, a jenerał mówił:

— Zamkniesz tego małego złodzieja w piwnicy, rozumiesz?

— Rozumiem panie jenerale — zamknę tego małego złodzieja w piwnicy.

— Postawisz przy drzwiach straż.

— Postawię przy drzwiach straż.

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie?

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie...

Usłyszawszy to jenerał skoczył, tupnął nogą i krzyknął:

— Czyś ty oszalał ośle?

— Nie panie jenerale, nie oszalałem! — gadał Franc, prostując się coraz bardziej.

— Więc czemu powtarzasz po mnie wszystko?...

— Tak... to prawda... czemu ja powtarzam po

panu jenerale wszystko. Dalibóg, nie wiem, czemu ja powtarzam po panu jenerale wszystko...

— Więc kiedy nie wiesz, to milcz.

Franc znów wyciągnął się, wytrzeszczył oczy, nastroszył swe straszne wąsiska i patrzał w jenerała jak w tęczę. Ten ostatni mówił:

— Pytam ci się niedołęgo, czy ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy?

Franc stojąc nieruchomie, dalejże powtarzać:

— Pytam ci się niedołęgo... — tu spostrzegł się, palnął się pięścią w usta i zawołał;

— Przebacz panie jenerale, ale ręczę moją głową, że ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy. To jest panie jenerale sklep budowany umyślnie na wino, na dobre wino, na prawdziwy Tokaj, a takie skarby ci przeklęci Polacy umieją dobrze chować... Ja to wiem, bo mi to nie pierwszyzna...

Rozgadał się, postąpił parę kroków na środek pokoju i mruczał swym grubym głosem, machając rękami jak wiatrak.

— Do rzeczy! do rzeczy! — przerwał mu jenerał.

— Otóż panie jenerale, ten mały hultaj stamtąd nie ucieknie, ręczę moją głową, głową huzara węgierskiego. Jak zamknę, tu od sieni, wielkie żelazne drzwi, to i mysz nie wymknie się z piwnicy. Przysięgam na to.

Nie byłby zapewne na pół pijany Franc tak uroczyście przysięgał, gdyby był w tej chwili spoj-

rzał na twarz Janka, twarz rozpromienioną uśmiechem i lekkim wyrazem szyderstwa, zdającą się mówić:

— Przysięgaj sobie, ręcz swoją mądrą huzara głową, ale zamknij mię tylko w piwnicy, a obaczysz, że mię już nigdy twoje oko nie ujrzy.

Tymczasem jenerał mówił:

— To dobrze, weź i zamknij tego małego hultaja w piwnicy i dla wszelkiego bezpieczeństwa postaw straż przy drzwiach. Jutro rano przyprowadzisz go do mnie, muszę się z nim rozmówić — rozumiesz?

— Rozumiem panie jenerale.

— No, idź już — a wrzuć mu tam wiązkę słomy lub siana, żeby się miał na czem przespać, przecież to dziecko. Daj mu także chleba i pieczeni trochę, może głodny. No, idź już.

Franc skłonił się jenerałowi i biorąc Janka za rękę, rzekł:

— Chodź ty mały hultaju!

I mrucząc coś pod nosem, wyprowadził młodego więźnia do sieni, tu ze stołu wyjął pół bochenka chleba i potężny zraz pieczeni, owinął to wszystko papierem i wsunął pod pachę Jankowi, mrucząc ciągle, ruszając groźnie swymi wąsiskami i mrugając jednem okiem. Potem zawołał na żołnierza, który drzemał na ławie w kącie sieni i kazał mu przynieść słomy — a gdy i ta się znalazła,

wziął świecę, otworzył kłódkę u drzwi od piwnicy i kiwając palcem na Janka, rzekł po niemiecku:

— Chodź!

Po kilku schodach zeszli do piwnicy sklepionej, mającej jedno tylko okienko w górze, mocno okratowane, zastawionej beczkami z winem, czarnej, odrapanej i wilgotnej. Franc wybrał najsuchsze miejsce na ziemi, rozesłał na niem słomę i zbliżył się do Janka z wytrzeszczonemi oczami, z groźnie nastroszonymi wąsami i kiwając wielkim, pałkowatym palcem, rzekł kiepską polszczyzną:

— Ty mala Polak tu spać!

I zabrał się i poszedł, mrucząc jak niedźwiedź. Janek słyszał jak Franc zamknął ciężkie drzwi za sobą, w posępnej piwnicy rozległ się zgrzyt zasuwanych wrzeciądzy, trzask zamku i biedny chłopiec został sam wśród ponurych ciemności.

ROZDZIAŁ III

W jaki sposób Janek wydostał się z piwnicy i co ucierpiał przechodząc przez długi, zrujnowany loch podziemny.

Janka, zamkniętego w piwnicy, ogarnęły niczem nierozjaśnione, nieprzejrzane ciemności. Z okienka tylko, pomieszczonego pod sklepieniem, wdzierał się czerwony odblask, widocznie od ogniska gdzieś w pobliżu rozpalonego przez żołnierzy i kładł się krwawą, migotliwą plamą na brudnej ścianie lochu. Przez okienko to wbiegała także jakaś smutna, żałosna piosnka, nucona przez znudzonego żołnierza, która wśród grubych murów piwnicy przybierała jakiś posępny, ponury charakter.

Janek zostawiony sam, obejrzał się dokoła i zrazu przeląkł się otaczających go ciemności. Przypomniał sobie wszystkie historye o strachach, jakich się nieraz nasłuchał między czeladzią, wśród długich zimowych wieczorów. Ale że był to chłopiec rozumny, więc szybko otrząsł się z niemęskiej

bojaźni, mówiąc sobie, że strachów żadnych niema na świecie — owszem, zaczął się po cichu śmiać. Śmiał się zaś z jenerała i Franca, którzy zamknąwszy go w piwnicy, myśleli, że pomieścili więźnia w pewnem i bezpiecznem miejscu.

— Jakże się zadziwią, gdy mnie tu jutro nie znajdą! — szeptał Janek zapinając płaszczyk i chowając starannie do kieszeni chleb i pieczeń, daną mu przez Franca — co prawda, to mi się jeść chce, ale teraz niema czasu o tem myśleć. Dalej Janku — wołał chłopiec — do roboty, później będziesz używał!

Janek znał dobrze wszystkie kąty dworu, bo nie mając wiele zajęcia, gdyż stryjostwo go zaniedbywali, a przytem był to z natury chłopak bardzo ciekawy, więc włóczył się po całym domu i obznajmił się z nim doskonale. W piwnicy, w której go teraz zamknięto, wiedział, że są drzwi w głębi, ukryte za wielką, staroświecką beczką od wina, teraz pustą — i że drzwi te prowadziły do długiego lochu, nieco zrujnowanego, który kończył się pod spichrzem, stojącym na uboczu, tuż przy stajniach dworskich. W spichrzu tym, walącym się i opuszczonym zupełnie od lat kilkudziesięciu, były w podłodze drzwi, któremi z lochu się wychodziło. Janek wiedział o tem wszystkiem doskonale, gdyż nieraz biegał po tym lochu, zastawiając ze starym Marcinem pułapki i trutki na szczury, które gromadnie gnieździły się w lochu. Jak jedne tak

i drugie drzwi nigdy nie były zamykane — i Janek pod tym względem nie miał obawy — przerażała go tylko myśl udania się do rzeczonego lochu po ciemku, zwłaszcza, że loch był zrujnowany, w wielu miejscach zasypany gruzem i łatwo można było się potknąć o jaki, odpadły od sklepienia kamień i nabić sobie potężnego guza. Nie o guza wszelako szło Jankowi, którego zresztą postępując ostrożnie i macając dokoła rękami i nogami łatwo było można uniknąć, ale o szczury. Szkaradnych tych stworzeń w lochu była niezliczona ilość i niekiedy tak wielkich jak koty i tak zuchwałych, że czasem rzucały się nawet na starego Marcina, kiedy ten spuszczał się do lochu i zabierał się do ich przepłoszenia. Lękał się więc i słusznie Janek, że wstąpiwszy do piwnicy po ciemku, bez żadnej broni, może być napadnięty przez te dzikie zwierzęta, zwłaszcza jak poczują pieczeń i chleb w jego kieszeni. Na myśl, że może uledz losowi króla Popiela, zimny pot występował na czoło chłopca. Ale nie było rady — jeżeli miał spełnić swój wzniosły zamiar, to musiał się koniecznie wydobyć ze swego więzienia i to zaraz, gdyż czas uciekał, czas, którego każda chwila miała dla chłopca nieocenioną wartość. Szczytny ten zamiar ożywił go, natchnął odwagą.

— Bylem dostał się do śpichrza, to już reszta jest fraszką — mówił sobie Janek — w śpichrzu jest mnóstwo dziur, okna są wybite, łatwo będzie

wydobyć się na zewnątrz — a więc w imię Boże marsz!

Otulił się płaszczykiem, gdyż w wilgotnej piwnicy było chłodno, a może drżał od wzruszenia puszczając się w niebezpieczną drogę, i macając rękami koło ściany, w której były owe drzwi prowadzące do lochu, począł się posuwać ostrożnie naprzód. W chwili, kiedy wciskał się za ową staroświecką, olbrzymią beczkę, o której wyżej mówiliśmy, potrącił nogą przedmiot jakiś leżący na ziemi, który z brzękiem potoczył się dalej. Janek zaciekawiony coby to było takiego, schylił się i po omacku natrafił na długi, blaszany lejek, widocznie używany dawniej do toczenia w butelki wina z owej olbrzymiej beczki. Lejek był jeszcze mocny i w wypadku, w jakim się znajdował chłopiec, mógł stanowić jaką taką broń przeciw szczurom. Ucieszony niezmiernie tem odkryciem, Janek podziękował w duchu Bogu za pomoc, przeżegnał się i śmiało ruszył naprzód, pełen najlepszej otuchy.

Z łatwością znalazł za beczką ukryte drzwi i pchnął je mocno. Otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem na zardzewiałych zawiasach i z łoskotem uderzyły o ścianę lochu. Łoskot ten i zgrzyt w ciszy, jaka panowała w piwnicy, rozległ się jak piorun, odbijając się długiem echem po czarnym jak piekło lochu. Janek przestraszony, żeby tego niespodziewanego hałasu nie usłyszeli żołnierze, zatrzymał się, dławiąc oddech w piersi i nadstawił



Postępował naprzód, opędzając się szczurom.

uszów. Ale cisza panowała jak przedtem, tylko dobiegała do przerażonego chłopca owa smutna, żałosna piosnka żołnierska, którą już przedtem słyszał.

Z lochu wiało stęchłe, przesiąknięte wilgocią powietrze i rozlegał się ponury szmer biegających szczurów, połączony niekiedy ze szkaradnym piskiem. Janek wstrząsł się z obrzydzenia, ale puścił się śmiało naprzód. Szedł ostrożnie, z wyciągniętą przed siebie ręką, gdyż wiedział, że niedalcko od wejścia sklepienie lochu zapadło się nieco i można było o nie uderzyć głową — również nogą próbował wprzód gruntu nim stąpił, gdyż obawiał się upaść. Upadłszy bowiem mógł być oskoczony przez szczury, których gromady z głośnym szelesten uciekały przed nim — na jednego nawet nastąpił, a szkaradne stworzenie zapiszczało tak przeraźliwie, że Janek wzdrygnął się cały.

W miarę posuwania się naprzód, droga stawała się coraz trudniejszą. Na ziemi coraz gęściej leżały odpadłe od sklepienia kamienie; parę razy Janek uderzył tak mocno głową, że aż świeczki mu zabłysły w oczach, a szczury były coraz liczniejsze, coraz natarczywsze. Zuchwałe te i drapieżne stworzenia z początku wskakiwały mu na nogi, tak że musiał je strząsać, później z szybkością i zwinnością właściwą sobie wdrapywały mu się na piersi, tak że rękami je spychał. Jeden nawet stanął mu na ramieniu, a pod nogami co chwila nadeptywał

na te obrzydliwe i ślizkie cielska. Walka z gromadą tych zwierząt stawała się z każdą chwilą cięższą i trudniejszą. Janek posuwając się z wszelką ostrożnością, gdyż upadek mógł stać się śmiertelnym, bił szczury uderzeniami lejka, rozpędzał je potężnem kopnięciem nogi i szedł dalej. Na chwilę nawet nie stracił przytomności i nie zachwiał się w swem przedsięwzięciu.

Idąc tak i miarkując z czasu, gdzie się mniej więcej znajduje, wiedział, że za chwilę loch zakrzywi się pod kątem prostym i że zaraz potem będzie jedyne okienko, oświecające tę ponurą miejscowość, oraz że pod tym okienkiem jest najniebezpieczniejsza w całym lochu droga. Niebezpieczeństwo to polegało mianowicie na tem, że w tem miejscu sklepienie dolne lochu zapadło się i utworzyła się tam przepaść, prawdopodobnie prowadząca do innych, głębszych piwnic, całkiem Jankowi nieznanych. Dwór w Łęgonicach stał na gruntach dawnego zamku i ludzie mówili, że jest tam mnóstwo lochów, piwnic, galeryj podziemnych, prowadzących aż do samej Pilicy. Janek słyszał o tem nieraz i zawsze przechodząc około owej przepaści pod okienkiem, drżał z bojaźni, żeby tam nie wpaść; i jeżeli przy świetle, w obecności starego Marcina droga tamtędy nie była zbyt bezpieczną, o ile teraz stawała się niebezpieczniejszą wśród nieprzejrzanych ciemności, w upartej walce z gromadą coraz zuchwalszych szczurów.

Janek jednak nie tracił odwagi — westchnął sobie do Boga i posuwał się dalej. Stanął nakoniec przy owem zagięciu lochu, to jest w połowie drogi, i ujrzał jak z okienka padał na przeciwległą ścianę krwawy odblask od ognisk żołnierskich, rozłożonych na dziedzińcu dworu. Na tym wąskim, kwadratowym pasie światła, roiły się czarne gromady szczurów, poprzyczepiane pazurami do ściany. Ze wstrętem odwrócił oczy od tego widoku i trzymając się muru postępował naprzód, opędzając się ciągle szczurom. Nieszczęściem, już niedaleko okienka, Janek chcąc jak najprędzej wydobyć się z tego okropnego miejsca, przyśpieszył kroku i zaniedbując dotąd zachowywaną ostrożność, stąpnął źle, natrafił na gruzy, potknął się i upadł. Przy upadku tym, lejek wysunął mu się z ręki, jedyna broń jaką posiadał i która była droższą dla niego w tej chwili od wszystkich skarbów świata. Co gorsza jednak, co straszniejsza, szczury obskoczyły go dokoła, wdrapały się gromadnie na plecy, czuł jak plączą się w jego bujnych włosach, piszcząc przeraźliwie. Zerwał się wprawdzie zaraz, otrząsnął z obrzydłych tych stworzeń, które padały na ziemię z głuchym łoskotem, rękami poodrywał je od włosów — gdy wtem nagle uczuł, że jeden szczur dostał się pod płaszczyk i drapie go po piersiach.

Biedny chłopiec w śmiertelnem przerażeniu krzyknął mimowolnie, rozerwał gwałtownie płasz-

czyk i zrzucił zuchwałego szczura. Odetchnął, ale zaraz przestraszył się własnym krzykiem, który powtórzony tysiącznem echem w pustym i długim lochu, rósł do potęgi gromu. Jakoż na świetlnej plamie na murze zarysował się jakiś cień i Janek wyraźnie usłyszał słowa żołnierzy mówiących po niemiecku:

— Słyszałeś Hans ten krzyk?

— Słyszałem.

— To tu, za tem okienkiem ktoś krzyczał... tam jest piwnica, tam ktoś być musi.

— A może i jest kto — odrzekł drugi.

— Hm! trzebaby dać znać kapitanowi.

— Ej po co... głupstwo, lepiej śpijmy. Może nam się zdawało, teraz jest cicho... deszcz leje jak z cebra, mogło nam się przewidzieć.

— Ha, może — śpijmy!

Janek podczas całej tej rozmowy, stał, przytulony do ściany, drżący jak liść osiczyny, tamując oddech w piersi, przerażony do najwyższego stopnia. Czuł, że mu łzy cisnęły się do oczów — przypomniał sobie swą nieboszczkę matkę, która go tak kochała, tak pieściła niegdyś, przypomniał wygodne łóżeczko w swem dzieciństwie, łóżeczko, w którem pod opieką tej drogiej matki zasypiał taki spokojny, taki bezpieczny. Jakaż różnica z tą straszną nocą, w tym ponurym lochu, wśród gromady zajadłych szczurów, z niebezpieczeństwem zdradzenia się na każdym kroku! Potem wspom-

niał sobie o wielkim celu, do którego dążył, westchnął do swej matki, która tam zapewne z nieba patrzy na niego – i ożywiony nową odwagą i nadzieją, przeczekawszy jeszcze chwilę, ruszył śmiało naprzód.

Już teraz wszystko poszło mu dobrze. Szczęśliwie przesunął się koło zapadniętego sklepienia lochu i wydostał się na drogę równiejszą, znaną sobie dobrze, gdyż tutaj najczęściej bywał z Marcinem. Zresztą sam loch w tej swojej części był lepiej zachowany. Gruzów było znacznie mniej i Janek mógł śmielej a nadewszystko szybciej postępować — co było rzeczą konieczną, gdyż głód, zmęczenie, wzruszenie i przestrach, oraz brak świeżego powietrza tak go osłabiły, że z nadzwyczajnem tylko natężeniem mógł jeszcze opędzać się szczurom i iść naprzód.

Oblany zimnym potem, parę razy musiał się dzielny nasz chłopiec zatrzymywać i wsparty o wilgotną, porosłą mokrymi grzybami ścianę, chwytał gwałtownie stęchłe, niezdrowe powietrze lochu. Nakoniec dostał się do spróchniałych schodów prowadzących do drzwi w podłodze śpichrza, ale był tak osłabiony, że nie mógł podnieść tych drzwi, ciężkich, dębowych, gęsto okutych żelazem. Usiadł sobie na schodach, obtarł czoło zroszone obficie kroplistym a zimnym potem, i odpoczął nieco. Już teraz nie walczył z dawną energią ze szczurami, których wprawdzie w tem miejscu było mniej, ale

za to były równie natarczywe — strząsał je tylko ze siebie ze wstrętem, który go dreszczem przejmował, wiele razy uczuł na sobie śliskie, szkaradne ciało tego stworzenia.

Nakoniec odpoczął sobie nieco — posunął się pod drzwi i natężając ostatek sił, zdołał je podnieść i wydobyć się do śpichrza. Czas był już wielki, gdyż biedny Janek ledwie oddychał — i padł prawie nieżywy na podłogę. Ale ubezwładnienie to niedługo trwało — świeże, chłodne powietrze, dostające się do wnętrza tej rudery przez wybite okna i mnóstwo dziur w ścianach, przywróciło chłopcu obieg krwi, a cel święty ożywił go i natchnął energią. Wstał, podziękował z głębi duszy Bogu za ocalenie, przymknął ciężkie drzwi od lochu i przez okno wyskoczył na tyły dworskich zabudowań, gdzie wiedział, że żołnierzy austryackich niema i że go zatem nikt nie zobaczy.

ROZDZIAŁ IV.

Przygody Janka w podróży do Nadarzyna i smutny koniec wronego konika.

Z jakąż radością Janek znalazł się na wolności, wśród drzew, które szemrały pod chłostą nieustannego drobnego deszczu! Oddychał pełną piersią, rozkoszował się widokiem tej wietrznej, dżdżystej i zimnej nocy, która przy całym swym smutku o ileż była weselszą i piękniejszą od ponurych ścian lochu, pełnego stęchłej woni i szczurów! Jakiż ten świat jest miły, mój Boże!... szeptał Janek wciągając do piersi wiosenne, świeże, nasycone wilgocią powietrze.

Ale nie było czasu na rozmyślania i zachwycania się pięknościami tego świata — trzeba było działać, jeżeli wszystkie dotychczasowe cierpienia miały mieć cel jaki i miały się na co przydać. Miejsce, na które Janek wyskoczył z okna śpichrza, było w tyle zabudowań dworskich, pokryte gęstą murawą, ocienione kilku staremi i robaczywemi

wierzbami, z których woda ciurkiem ciekła na rozpaloną twarz chłopca. Było tu zupełnie pusto i cicho, gdyż zaraz zaczynały się orne pola.

Janek, który postanowił sobie dostać się do stajni, osiodłać tam niewielkiego konia, wronego kucyka, na którym zwykle jego brat stryjeczny jeździł, musiał więc okrążyć zabudowania dworskie, przejść dziedziniec napełniony żołnierstwem i nakoniec w stajni wytłómaczyć się przed starym Marcinem, który tam sypiał, dlaczego siodła kuca, i dokąd chce jechać.

Idąc, rozmyślał Janek, co ma powiedzieć Marcinowi, ale żaden wybieg nie przychodził mu do głowy, choć natężał swą myśl, tak że w końcu począł się obawiać, żeby cały jego plan nie rozbił się o tę przeszkodę.

— Chyba Marcinowi wszystko powiem — mówił sobie — inaczej bowiem nie da mi kuca — a i tak zapewne mi nie da. A jednakże ja muszę jechać! Zresztą w jaki sposób ja będę tłómaczył się Marcinowi, kiedy on głuchy, choć strzelaj z armat.

Spuszczając się więc na Opatrzność Boską, która go dotąd prowadziła, Janek szedł dalej. Właśnie wchodził na dziedziniec, kiedy koło niego przebiegł rotmistrz von Lampe na czele jazdy, za którą ciągnięto dwie armaty. Chłopiec ukrył się za drzewo, nie chcąc by rotmistrz go spostrzegł i przeczekał aż cała ta masa wojska przejdzie, dopiero potem ruszył ku stajni. Widział teraz, że trzeba

mu się bardzo spieszyć, jeżeli miał uprzedzić Austryaków w Nadarzynie — nie wątpił jednak o tem, byle za kilka minut mógł wyjechać. Niespokojny więc nadzwyczajnie, z biciem serca łatwo wytłomaczonem, przesunął się między biwakami śpiących żołnierzy i niezatrzymany przez nikogo, dostał się do stajni, którą na wielkie swoje zdziwienie zastał otwartą. W stajni nie było nikogo, oprócz chrapiących głośno ordynansów wojskowych, pilnujących niby koni jenerała i oficerów — Marcina zaś wcale nie było.

Uradowany tem niezmiernie pobiegł tam, gdzie stał wspomniany już przez nas kucyk, znalazł go na miejscu, drzemiącego nad żłobem, wyszukał siodła i uzdeczki, żwawo okulbaczył i okiełznał i wyprowadził na dziedziniec. Wszystko to nie zajęło mu i pięciu minut czasu, tak się spieszył, tak gorączkowo pracował. W chwili gdy wskoczył na siodło i osadzał się dobrze w strzemionach, rozległ się tuż za nim głos starego Marcina:

— A gdzie to panicz jedzie po nocy?

Zimny dreszcz przebiegł po całem ciele Janka. Jak tu odpowiadać Marcinowi, kiedy w pobliżu leżało kilku żołnierzy patrzących się spokojnie na to widowisko. Postanowił więc nic nie odpowiadać, uchylił tylko czapeczki, ukłonił się zdziwionemu Marcinowi i zawoławszy:

— Bądz zdrow Marcinie! — pognał galopem za bramę.

Jakże był szczęsliwy, kiedy znalazł się sam jeden na bocznej drodze, za dworem już i za wsią. Kucyk jego, dzielny konik, wronej maści, rwał jak wicher naprzód, kontent, że po długim odpoczynku w ciasnej i cuchnącej stajni, mógł się przewietrzyć trochę. Pędził więc wyciągniętym galopem, parskając wesoło, a wilgotna, rozmokła od deszczu ziemia, bryzgała mu z pod kopyt wysoko. J Janek był wesoły i szczęśliwy, a nadewszystko dumny z siebie, że po zwalczeniu tylu przeszkód, zdołał nakoniec plan swój doprowadzić do skutku. Teraz zależało wszystko od szybkości, od tego kto pierwszy stanie w Nadarzynie, czy nasz bohater, czy rotmistrz von Lampe. Janek nie wątpił ani na chwilę, że jeżeli mu nowe, nieprzewidziane przeszkody nie zajmą drogi, będzie tam pierwszy, najprzód dlatego, że będzie jechał prędzej, co najmniej kłusem, a powtóre że uda się krótszą drogą za Pilicę. Nie puścił się on bowiem gościncem na Nowe-Miasto, gdzie był most i ktorędy udał się rotmistrz, ale wprost, boczną drogą do brodu, ktory znał dobrze i ktory nieraz przebywał. Choć więc Austryacy wcześniej wyruszyli, on, pędząc galopem i drogą prostszą, uprzedzić ich znacznie musi.

Jakoż znalazł się wkrótce nad rzeką, która poważnie i z pluskiem toczyła swe mętne wały. Ostrożnie, wolno wjechał w jej koryto i w kilka

minut znalazł się szczęśliwie na drugiej stronie. Drogę do Jajkowic, pierwszego etapu naznaczonego przez jenerała rotmistrzowi von Lampe, Janek znał dobrze, gdyż był kilka razy w tej wsi ze stryjaszkiem z wizytą. Ruszył więc śmiało galopem.

— Jeszcze trochę mój kucyku — mówił Janek głaszcząc parskającego konia po łabędziej szyi — jeszcze trochę, byleśmy dopadli do Jajkowic, to już potem pojedziemy sobie kłusem.

Pędził więc Janek smagany wiatrem i drobnym deszczem nielitościwie. Noc była ciemna i ponura, droga rozmiękła deszczem jaknajgorsza, biedny kucyk zapadał nieraz w błoto po pęciny, ale zachęcany głosem Janka, rwał dalej. Wkońcu widocznie ustawał — oblał się cały pianą i jeszcze przed Jajkowicami Janek musiał mu pozwolić odetchnąć trochę. Jechał więc wyciągniętym stępem, czem się zresztą nie martwił, gdyż w każdym razie znacznie wyprzedził Austryaków, którzy na swych ciężkich koniach i z armatami, po grzęzkiej drodze zapewne nie zbyt mogli pospieszać.

Pod tym więc względem był Janek spokojny — ale przemyśliwał ciągle, jakimby sposobem można się wywiedzieć o drogę do Błędowa, drugiej stacyi wyznaczonej przez jenerała, drogę, której Janek całkiem nie znał, gdyż znajomość jego tych stron kraju kończyła się na Jajkowicach.

— Gdybym był dorosłym mężczyzną — myślał sobie — zapukałbym do pierwszej lepszej chałupy w Jajkowicach i musianoby mi pokazać drogę — ale taki dzieciak jak ja, wśród nocy, sam jeden zwracam na siebie uwagę i budzę podejrzenie. Gdybym się pytał, jeszczeby mię zatrzymano.

Tak bijąc się z myślami i nie mogąc wymyślić żadnej rady na swój kłopot, wjechał Janek w długą i cichą o tej godzinie ulicę wsi. Wszystkie chałupy były zamknięte, wszędzie ciemno i głucho, od czasu do czasu tylko pies zaszczekał i nic więcej. Smutno i pusto było dokoła. Deszcz kropiąc nieustannie, potworzył na twardszym gruncie ulicy wiejskiej kałuże, na których od pluskającego deszczu powstawały wielkie bańki. Jankowi znowu zrobiło się przykro na sercu wśród tego smutku i pustki, jaka go otaczała — nie wiedział gdzie się obrócić, gdzie ruszyć, a czas naglił, gdyż dalej nie mógł zbytecznie pędzić kucyka, jak to dotąd czynił, albowiem robiło już biedne konisko bokami i mogło paść na drodze. Należało go więc oszczędzać i jechać wolno ale ciągle, nie tracąc ani chwili czasu, a tu bohater nasz nie wiedział gdzie się zwrócić.

Ale Bóg opiekował się dzielnym chłopcem, który dla świętego zamiaru ocalenia głowy narodu, poświęcił się na tyle przygód, i zesłał mu pomoc. Kiedy Janek był już na końcu wsi i przystanął na chwilę, zamyślając się, którą z dwóch dróg się

udać, a które w tem miejscu się krzyżowały, nagle usłyszał skrzypienie kół i pluskanie koni po błocie. Widocznie ktoś jechał — jakoż wyraźnie zaraz potem usłyszał głos: a wio łysy!

Wstąpiła w chłopca otucha i czekał aż wózek nadjedzie. Wkrótce ujrzał go, a zbliżywszy się, zobaczył siedzącego na wozie jakiegoś mężczyznę szczelnie otulonego w burkę i z kapturem na głowie. Podjechawszy do wózka Janek rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a którędy się tu jedzie do Błędowa?

— Na wieki wieków! — odezwał się gruby głos z pod kaptura, z którego wyjrzała zaraz jakaś brodata głowa — do Błędowa? a prosto przed siebie, jak strzelił.

— Bóg zapłać! — zawołał Janek i nie czekając na dalsze pytania, ruszył wyciągniętym kłusem naprzód.

Jadąc dziękował Bogu z głębi duszy, cieszył się serdecznie i wołał:

— Wio! wio! wrony...

A wrony odpocząwszy sobie nieco przebierał szybko nogami i pędził dobrym kłusem. Wkrótce też niebo poczęło się rozjaśniać i deszcz ustał, co było na rękę Jankowi, gdyż płaszczyk mu nieco przemókł i chwilami dreszcze chłopca przejmowały. W radości przypomniał sobie, że mu się jeść chce, że prawie cały poprzedni dzień nic w ustach nie miał, że trzeba nakoniec posilić się trochę. Dobył

więc z kieszeni chleba i kawał pieczeni i zajadając smacznie, śmiał się i mówił:

— Niech Bóg wynagrodzi poczciwego Franciszka, że mię tak zaopatrzył na drogę, na swoją biedę. Dostanież on jutro od jenerała *pater noster*, jak zobaczą, że mnie niema w piwnicy. Ha! ha! ha! wyborna pieczeń, baranina z czosnkiem... Dawno już takiego przysmaku nie jadłem. Gdyby nie Franc, byłoby mi głodno i chłodno teraz. Niech żyje poczciwy Franc! — wołał Janek w uniesieniu radości.

Potem zaspokoiwszy głód, począł nucić żołnierską piosnkę, której nauczył się od Marcina:

»Hej tam w karczmie za stołem,
Stadł przy dzbanie Jan stary.
Otoczyli go kołem,
On tak prawił do wiary...« i t. d.

A głos Janka wśród ciszy nocnej rozlegał się daleko — a wrony konik czesał dalej raźno. Wkrótce też dojechał do Błędowa, o czem dowiedział się od pastuszka, który odziany płachtą, gnał bydło na paszę. Świt się już robił i na wschodzie niebo rumieniło się jak jabłuszko — a reszta czarnych, deszczowych chmur nocnych uciekała ze wstydem przed majestatem wschodzącej gwiazdy dziennej. Jankowi wraz z poczynającym się dniem zrobiło się weselej — był teraz pewny siebie, spokojny, że dopnie szczytnego celu.

Od tegoż pastuszka dowiedział się Janek, którędy jechać trzeba, żeby się dostać do Michrowa. W Błędowie, przez który przejeżdżał, już ruch się robił — wieśniacy z pługami wyjeżdżali na pola i zoczywszy Janka, przystawali, żeby się popatrzeć na małego chłopca jadącego samotnie i zapewne dziwili się temu. Ale Janek szybko przejechał przez wieś i zaraz potem zapuścił się w las, w którym zniknął z oczów ludzkich.

A w lesie, jakież życie ujrzał wraz z budzącym się dniem Bożym! Na liściach wspaniałych dębów i olch zwieszały się wielkie krople rosy i deszczu, podobne do pereł — w kroplach tych światło wschodzącego słońca przeglądając się tworzyło cudowną grę kolorów, wszystkich barw tęczy. Powietrze było czyste, świeże, nasycone aromatem żywicy, pełne zapachu roślinności wiosennej. Po drzewach świergotały ptaki, kukułka gdzieś w głębi lasu kukała wesoło, dalej rozlegało się stukanie dzięcioła w wypróchniałe drzewo. Od czasu do czasu Janek spotykał pod drzewami wiewiórki, które za jego zbliżeniem z szybkością wbiegały na szczyty najwyższych sosen i przeskakując zręcznie z gałęzi na gałęź, z drzewa na drzewo, ginęły w mrocznej jeszcze głębi leśnej.

Na polach znowu, za lasem, widział Janek pod złotymi promieniami wiosennego słońca pługi orzące glebę, przypatrywał się zielonym i bujnie wzrosłym zbożom, które jak szmaragdowe kobierce

rozkładały się dokoła. Z nizin, ogrzane słońcem, wznosiły się białe mgły, tuląc dalsze widoki niby gazą z muślinu. Niekiedy dostrzegał Janek na skraju horyzontu, na lazurowem tle nieba, rysującą się sygnaturkę kościołka wiejskiego, białe dwory i błękitne lasy. Wszystko to dla niego było czemś nowem, czemś nieznanem, czemś co go zachwycało.

Tak jadąc, już dobrze na dzień, mogła być ósma może godzina, spotkał idącego drogą wieśniaka i spytał go się, czy daleko jeszcze do Nadarzyna, który według obliczeń Janka winien już być blizko, zwłaszcza że minął już nietylko Michrów ale i Ojrzanów.

— A niedaleko paniczu — odrzekł wieśniak — będzie z pół mili.

Przyspieszył więc Janek bieg kucyka, rad że ta podróż, która go dobrze zmęczyła, prędko się skończy. Właśnie wjechał na wzgórze, przez które szła droga i chcąc się przypatrzyć okolicy, obejrzał się za siebie.

Skamieniał. Z lasu, oddalonego od niego może o jakie dwie wiorsty wysuwa się konnica, a szable jej, blachy na kołpakach, świecą pod słońce jak roztopione złoto. Straszna myśl przebiegła przez głowę Jankowi.

— To huzary węgierskie!

A oni jadą, jadą i coraz więcej wysuwają

się z lasu, toczący się przez drogę, jak świetny, błyszczący wąż. Spotkali wieśniaka, z którym przed dziesięciu minutami Janek rozmawiał, zatrzymali, otoczyli go dokoła, widocznie o coś się wypytują.

— Nie mam tu czego czekać — szepnął Janek — w nogi!

Uderzył kucyka i galopem zjechał z góry. Pędzi, zachęca konia głosem i biciem i ogląda się co chwila. Patrzy, huzary już na wzgórzu. Janek drży, żeby go nie spostrzegli i nie puścili się za nim, gdyż niechybnie dogoniliby go na swych wielkich, dzielnych koniach. Szczęściem droga się zakręcała i otaczały ją tu po obu stronach wielkie, rozłożyste topole, które jadącego zasłoniły przed okiem nieprzyjaciela. Kucyk rwie dalej, ale Janek czuje że ustaje, chrapie straszliwie i widocznie ostatek sił dobywa, jednak leci dalej.

— Chwała Bogu! — szepcze Janek — już Nadarzyn niedaleko.

Jakoż wieś już było widać, ukrytą w gromadzie drzew, nad które wyglądały szczyty pałacu ozłocone słońcem. Jeszcze trochę wysileń, a za pięć minut młody jeździec będzie we wsi. A tu już huzary wjechali między topole — kucyk coraz wolniej się posuwa, chrapie okropnie, chwieje się, skoczył konwulsyjnie i padł.

Janek stanął na ziemi, usiłuje podnieść biedne zwierzę, ktoremu posoka z nozdrzy się leje — naprożno! Jeszcze raz biedny kucyk spojrzał na Janka okiem pełnem smutku, zadrżał, chciał się zerwać i... skonał. A huzary coraz bliżej!...

ROZDZIAŁ V.

Przybycie Janka do pałacu, rozmowa z księciem Józefem i krwawa bitwa.

Przerażenie i rozpacz Janka, kiedy ujrzał swego dzielnego konika padającego trupem ze znużenia i błyszczące szeregi huzarów ukazujące się w alei była ogromna. I trzebaż jeszcze, że go to wszystko spotkało prawie tuż przy Nadarzynie, prawie u celu podróży, kiedy jeszcze dziesięć minut wysileń a stanąłby przed księciem i ocalił go. Teraz wszystko napróżno — nadaremną jest niebezpieczna droga przez loch podziemny, posępna i obrzydła walka ze szczurami, nadaremną mozolna podróż, nadaremną i bezowocną śmierć kucyka. Za kilka chwil nieprzyjaciel stanie przy Janku, stanie w Nadarzynie nadewszystko i porwie księcia Józefa.

Na tę myśl wszystka krew uderzyła do głowy chłopca.

— Nie! — zawołał — trzeba jeszcze jedną zrobić próbę.

Spojrzał na huzarów — zatrzymali się i na obie strony drogi powysyłali oddziały, które rozwijając się szybko, widocznie zamierzały wieś dokoła otoczyć. Janek widział, jak wielkie ich i ciężkie konie grzęzły w rozmokłej przez całonocny deszcz ziemi, jak wskutek tego mogli tylko bardzo wolno i z wielkim trudem się posuwać. Nadewszystko ucieszyło go to, że główny oddział na gościńcu wysadzonym topolami, stał nieruchomy.

— Mości książę — zawołał Janek, potrząsając swą czapeczką — jesteśmy ocaleni. Nim te żaby austryackie wygrzebią się z błota, ja już będę w Nadarzynie i ostrzegę księcia. A więc w imię Boże, naprzód!

I zostawiwszy drgające jeszcze w przedśmiertnych konwulsyach zwłoki kucyka, Janek puścił się biegiem, co mu tylko sił starczyło, do wsi. Biegł wciąż wielką, szeroką drogą, wysadzoną smukłemi topolami i wierzbami i co chwila oglądał się poza siebie, czy czasem nieprzyjaciel go nie goni. Ale huzarzy stali spokojni, nieruchomi, a słońce przyglądało się w złotych blachach ich kołpaków, w błyszczących pochwach ich szabel — boczne zaś oddziały posuwały się powoli dokoła wsi. We wsi zaś samej, do której Janek dostał się już nakoniec, spostrzegać się dawał pewien niepokój. Ujrzano widać jazdę otaczającą wioskę i poczęto się niepokoić, ale nikt jeszcze nie przypuszczał, jak straszna katastrofa grozi księciu. Nie

wiedziano nawet co to za jazda, nie spodziewano się niczego podobnego, bo choć mowiono o bliskiej wojnie z Austryakami, ale wojna ta jeszcze nie była wypowiedziana, któż więc mógłby uwierzyć w nagły napad na wzór dzikich ludzi a nie ucywilizowanych narodów. Dlatego ten i ów z mieszkańców wioski wybiegał na drogę, żeby przypatrzeć się bliżej ukazującej się kawaleryi, a na ulicy wioski stały gromady kobiet i rozmawiały ze sobą głosno. Wogóle, wiedząc o pobycie księcia Józefa w pałacu, sądzono, że to jaki oddział polskiej jazdy przybył do Nadarzyna. Spokój więc niczem jeszcze nie był zakłócony.

Janek tymczasem biegł ciągle naprzód, nie zatrzymując się wcale, z okiem wlepionem w dach pałacu. Gromadki kumoszek stojących na srodku ulicy patrzały ze zdziwieniem na tego chłopca, biegnącego ze wszystkich sił, zziajanego, z okiem iskrzącem, z włosem rozwianym, obryzganego błotem — i najrozmaitsze wnioski wysnuwały. Tu i owdzie nawet pytano go się, czemu tak biegnie — ale Janek nie odpowiadał, nie zważał na nic, zajęty jedynie swoim zamiarem.

Stanął wreszcie przed bramą pałacu rozwartą na oścież i widzi — na obszernym dziedzińcu stoi pluton polskich ułanów w wyciągniętym szeregu, a wiatr miota leciutko trojbarwistemi ich chorągiewkami. Na dużym ganku, pod kolumnadą, otoczony kilku oficerami stoi książę Józef i wydaje

rozkazy. Widocznie doszła go już wieść o ukazaniu się jakiegoś wojska pod Nadarzynem — więc rozkazuje:

— Porucznik Ziembowski weźmie pół plutonu i pojedzie dowiedzieć się, co to za wojsko.

Janek słyszy ten rozkaz i dziwi się spokojności księcia i otaczających go wobec grożącego im straszliwego niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie nie przypuszczają nawet, żeby to mogli być Austryacy. Na ganku obok księcia kręci się mnóstwo kobiet, w jasnych, strojnych sukniach i wesoło rozmawia z oficerami, a śmiechy ich Janek słyszy w bramie pałacowej.

Chłopiec nasz nie może oderwać oczów od księcia. Poznał go odrazu, gdyż u stryja był jego portret. Patrzy więc z zachwyceniem na tę wysmukłą postać bohatera narodowego, odzianą w śliczny granatowy mundur ułański, strojny w srebrne szlify, w amarantowe obszlegi i rabaty. Na bujnych, ciemnych włosach książę miał z fantazyą włożoną ułankę, u której biało-amarantowa kitka chwiała się za każdem poruszeniem głowy. Książę stał na ganku oparty na szabli i patrzał, jak porucznik Ziembowski komenderował, żeby półpluton zwinął się w dwojki.

W tejże chwili Janek, który ocknął się z zachwytu na widok pięknej, bohaterskiej postaci księcia Józefa, przecisnął się między końmi ułanów

dobiegł do ganku i stanął wprost wodza. Zdjął czapeczkę z głowy i zawołał:

— Mości książę, uciekaj. To wojsko, o którem mówisz, to Austryacy. Wczoraj wieczorem wyszli z Łęgonic pod Nowem-Miastem, żeby ciebie schwytać. Jest ich ogromnie dużo, trzy szwadrony huzarów, szwadron pandurów i trzy armaty...

Wymówił to jednym tchem i zatrzymał się na chwilę, żeby złapać nieco powietrza. Spojrzał na księcia i otaczających go i zarumienił się jak wiśnia. Zmięszał się biedaczek — wszyscy mieli w niego wlepione oczy, na każdej twarzy rysował się wyraz podziwu. Sam książę tylko nie zmienił się — jego piękna, rycerska twarz była równie spokojna, łagodnie uśmiechnięta, jak przed chwilą, kiedy rozmawiał z jakąś piękną panią, która obok niego stała. Swe duże, szeroko rozwarte oczy, czarne i błyszczące jak aksamit, wilgotne i bystre, wpoił on w Janka i zapytał:

— Skąd wiesz o tem wszystkiem moje dziecię?

— Jestem z Łęgonic — podsłuchałem jenerała austryackiego jak wydawał rozkazy. Całą noc jadę, żeby księcia pana ostrzedz, ale mi kucyk padł pod Nadarzynem i dlatego spóźniłem się trochę. Uciekaj mości książę, uciekaj!

Mówiąc to Janek, któremu niebezpieczeństwo grożące księciu, wróciło całą przytomność i energią, obejrzał się trwożliwie dokoła i dodał:

— Tylko patrzeć jak tu będą. Jest ich bardzo

dużo. Widziałem, jak na obie strony drogi wysłali oddziały, chcą otoczyć wieś. Uciekaj książę!

Ale książę nic na to nie odrzekł, tylko obracając się do swoich oficerów, rzekł do nich coś po francusku, czego Janek nie zrozumiał. W tejże chwili zadudniała ziemia i na dziedziniec pałacu wpadł pędem, na spienionym koniu jakiś mężczyzna i krzyknął:

— Mości książę, Austryacy!

Wówczas książę, którego bohaterska twarz nie zadrżała nawet, zakomenderował głosem spokojnym i donośnym:

— Na koń!

I gdy co żyło tylko z pomiędzy ułanów poczęło dosiadać koni, kobiety zaś przestraszone poczęły płakać i uciekać do pałacu, książę zbliżył się do Janka, podniósł go do góry, pocałował i pokazując swemu wojsku, rzekł:

— Mości panowie, oto dzielny chłopiec! czy wart krzyża?

— Wart, wart! — odezwali się głośno ułani.

Wtedy książę odjął z uśmiechem krzyż wojskowy od swego munduru i przypiął go Jankowi, szepcząc:

— Nosić go będziesz ze czcią mój chłopcze i nie splamisz nigdy krzyża polskiego, prawda?...

Janek miał oczy pełne łez — ze wzruszenia nie mógł przemówić. A książę pocałował go jeszcze raz i siadając na konia, dodał:

— Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

I kłaniał się, przykładając ręce do ułanki, przerażonym kobietom, które go żegnały poruszaniem chustek, płaczem i błogosławieństwem, poczem stanął na czele swego plutonu i wyprowadził go za bramę pałacową. Janek pobiegł za nimi, żeby się jeszcze przypatrzyć lepiej temu rycerskiemu księciu i temu ślicznemu wojsku, które z brzękiem szabel, z furkaniem trójbarwistych chorągiewek, z raźnem parskaniem koni, wysunęło się na szeroką ulicę wioski.

Kiedy tak Janek stoi i patrzy z żalem za odjeżdżającymi, nagle zadudniała ziemia i z okrzykiem: *vorwärts!* z gołą szablą w ręku, wzniesioną do góry, na czele huzarów pędzących co koń wyskoczy, ukazał się chudy rotmistrz von Lampe. Maleńkie jego oczka, wytrzeszczone okropnie, świeciły jak karbunkuły — usta śmiały się jakimś strasznym, szyderskim śmiechem — duże, rude faworyty wiatr mu rozwiał, a w szabli wzniesionej do góry słońce zapalało oślepiające iskry. Za nim, za swoim rotmistrzem pędziła także z szablami podniesionemi, gromada huzarów w ściśniętych szeregach, szóstkami, nie mogąc się rozwinąć w ciasnej uliczce wioski. Biegli oni straszni, rozwścieczeni, z głośnym okrzykiem.

W tejże chwili przerażony słuch Janka uderzył inny, nowy okrzyk z całkiem przeciwnej strony, to jest tej, w którą książę miał się udać. Tu

w zbitej nieregularnej masie, rwali na swych malenkich konikach Pandurzy, dzika, niesforna jazda, ubrana najdziwaczniej, uzbrojona najrozmaiciej, w spisy, szable, łuki, karabinki. Biegli oni także co koń wyskoczy, strzelając w pędzie, a strzały ich i kule poczęły gwizdać dokoła. Janek czuł, że pod nim nogi się chwieją — był przekonany, że książę a z nim jego garstka ułanów zginie bezwarunkowo. Otoczeni ze wszech stron przez przemagające siły, czyż zdołają się obronić?

— Ach czemuż ja wcześniej nie przybyłem! — szeptał, zamykając oczy i siadając pod słupem bramy, drżały bowiem pod nim nogi — a przytem nie chciał, nie miał odwagi patrzeć na śmierć straszną tej garstki ułanów i księcia.

Przez chwilę, zamknąwszy oczy, słyszał tylko chaotyczną wrzawę, tętent koni, brzęk szabel, huk strzałów i świst kul — gdy nagle ponad tą dziką, straszną wrzawą, rozległ się donośny i spokojny głos księcia:

— Półplutonami na prawo i na lewo — formuj się!

Janek otworzył oczy zdziwiony.

— Więc oni jeszcze żyją — szepnął; i widzi jak ułani ze spokojem i szybkością złamali się na dwie równe części, jak jedna połowa frontem stanęła do huzarów Lampego, druga do dzikich Pandurów, a na czele tej ostatniej z obnażoną szablą w ręku, z okiem iskrzącem się ogniem, rozpłomie-

nioną twarzą uwija się na swym dzielnym, skarogniadym koniu, sam książę Józef. Potem słyszy Janek donośną komendę księcia:

— Skróć cugle — do ataku broń!

I wszystkie lance pochyliły się w pół ucha końskiego, trójbarwiste chorągiewki furknęły, i oba półplutony podobne były do groźnego zwierza, który jeży się do obrony — a ostrza ich lanc migotały pod słońce jak roztopione złoto. Potem widzi Janek, jak książę błysnął swą szablą i jak krzyknął:

— Pędem, naprzód marsz!

I oba szeregi, z głośnym okrzykiem zerwały się jak wicher i rzuciły naprzód. Z pod kopyt ich koni ziemia bryznęła w górę, podniosły się tumany kurzu i zrobił się straszny, niedający się opisać zamęt. Z początku nic nie było widać, tylko gromadę ludzi i koni zwartą w strasznym, śmiertelnym uścisku, słychać było chrzęst szabel, świst uderzeń, głuche jęki. Zakłębiło się, zagotowało wszystko jak w garnku. Potem z tej gromady wybiegł jeden i drugi koń bez jeźdźca, okrwawiony, przerażony — a potem wszystko znikło, oddaliło się. Na ulicy ujrzał Janek kilkanaście trupów Pandurów i ułanów — książę widocznie z resztą przerżnął się i gnał uciekającego przed sobą wroga.

Janek odetchnął z głębi piersi. W kilka chwil potem ukazała się druga połowa plutonu ułanów,

cofająca się powoli i wstrzymująca na sobie masę huzarow. I ci przebiegli koło bramy z wrzawą i znikli. Potem już biegli kłusem sami Austryacy, huzary, Pandury, armaty. Wrzawa coraz bardziej się oddalała i cichła.

Janek uspokojony już nieco co do losu księcia Józefa, obejrzał się dokoła. Przed pałacem stało kilka powozow i bryczek, na ktore z pospiechem siadały kobiety i mężczyźni i szybko wyjeżdżali. Trzask, rwetes, płacz kobiet, donośny, niecierpliwy głos mężczyzn, klątwy woznicow, tworzyły istny obraz piekła. Kto mógł dopadał bryczki i uciekał. Powozy, bryczki, wózki wybiegały pędem za bramę i znikały. Wkrotce opróżnił się dziedziniec pałacowy, cisza go wielka zaległa, tem dziwniejsza, że przed chwilą panowała tu ogromna wrzawa — i Janek został sam.

Czuł się niesłychanie znużonym. Nieprzespana noc, długa i męcząca podróż, głód, mnóstwo niezwykłych wrażeń, wszystko to tak osłabiło chłopca, że ledwie mogł utrzymać się na nogach. Oczy kleiły mu się same — widział konieczną, niezbędną potrzebę odpoczynku. Skierował się ku pałacowi.

Idąc rozmyślał nad swem położeniem.

— Przespać się muszę — mówił sobie — inaczej nie byłbym zdolny do niczego. W tym wielkim pałacu łatwo zapewne znajdę jaki kącik cichy — czy jednak bezpieczny? O to właśnie

idzie. Huzary i ten szkaradny rotmistrz von Lampe zapewne niedługo wróci — ma rozkaz tu odpocząć i popaść konie — gdy mnie zobaczy i pozna, gotów mię kazać zabić jeszcze w złości za to, że mu się jego przedsięwzięcie nie udało. Trzeba się więc gdzie dobrze ukryć i przeczekać w tem ukryciu, aż Austryacy odjadą. Ale gdzie się tu ukryć?

Obejrzał się dokoła. Za nizkim murem, z boku nieco, otaczającym widocznie ogród, gdyż wyglądało z poza tego muru mnóstwo drzew, ujrzał Janek szczyty jakiegoś wysokiego dachu. Nie namyślając się wiele, zbliżył się do muru, wdrapał się na niego i znalazł się w ogrodzie obszernym, zarosłym prześlicznemi staremi drzewami. Śmiało skierował się ku owemu budynkowi, którego dach śpiczasty ujrzał zdala.

Była to niewielka murowana altanka chińska, z wysokim dachem, ostro zakończonym — cóż kiedy drzwi jej i okna były zamknięte! Janek smutny i zrozpaczony, obchodząc dokoła tę altanę, ujrzał na dachu dymnik. Zdecydował się zaraz. Wdrapał się na sąsiednie drzewo, którego jedna wielka gałęź dotykała się altanki, z drzewa tego dostał się na dach, a potem wlazł w dymnik i stanął na niewielkiej, dość ciemnej górce, pełnej słomy i siana.

Będę miał wyborne spanie! — szepnął z zadowoleniem chłopiec.

Zgarnął trochę siana na kupkę, urządził sobie posłanie i właśnie zamierzał się położyć, gdy jego uszu doszedł gwar i tętent koni. Wyjrzał przez dymnik i cały dziedziniec pałacowy zobaczył zapchany huzarami austryackimi.

ROZDZIAŁ VI

w którym opowiedziane jest, jakim sposobem Janek spotkał się z Francem i co z tego spotkania wynikło.

Widocznie wracali z pogoni za księciem Józefem i ułanami. Przyszli pomięszani, bez ładu, osypani kurzem i błotem, na zmęczonych i spienionych koniach i rozkładali się obozem na wielkim dziedzińcu pałacowym. Janek ze swego schronienia widział wszystko doskonale — jak przed bramą postawili armaty, jak huzary i Pandury roztasowywali się na prześlicznych gazonach, depcząc je bezlitośnie, zakładając wielkie ogniska, do podsycenia których znosili najkosztowniejsze meble z pałacu, książki, obrazy. Potem widział jak rabowali pałac, jak wybijali w nim okna, jak wychodzili z niego obładowani dywanami, sukniami, zegarami i t. p. Rozsypali się także po ogrodzie, zajrzeli do chińskiej altany, do której wybili drzwi, ale szybko z niej wyszli, widocznie nic wewnątrz nie znalazłszy. Głównie Pandury oddawali się temu

rabunkowi — z gołymi pałaszami ścigali i zabijali kury, indyki, gęsi — z obór powypędzali bydło i owce, zarzynali je i piekli. Podobnie zapewne gospodarowali po całej wsi, gdyż słychać było płacz kobiet i dzieci — i Janek ze swego dymnika widział, jak gromady ludzi pędząc swój dobytek, z zawiniątkami pod pachą, uciekały do pobliskiego lasu. Potem wyprowadzili na dziedziniec jakiegoś mężczyznę, rozciągnęli go na ziemi i bili batami. Hałas, wrzawa, trzask łamanych mebli, jęki bitego, ryk bydła, brzęk szabel, nadawały temu obrazowi charakter istotnie piekielny.

Jankowi wszystka krew się burzyła, patrząc na to zniszczenie i na znęcanie się nad bezbronnymi ludźmi.

— O! — szepnął — gdybym był dorosłym mężczyzną i gdybym miał broń, dałbym ja wam, zbóje!

Pilnie upatrywał, czy nie dostrzeże gdzie księcia Józefa, ale nigdzie go nie było, jak również rotmistrza von Lampe. Widocznie ten ostatni jeszcze nie wrócił z pogoni, czego zresztą dowodziła niewielka stosunkowo ilość wojska zebranego na dziedzińcu. Nie wszyscy więc tu byli.

Jakoż ściągali się powoli. Najprzód przyjechało kilka wozów z rannymi, których okropnie pokrwawionych i porąbanych pokładziono na trawie i kilku ludzi, zapewne doktór i jego pomocnicy poczęli ich opatrywać. Niektórzy z tych biedaków

tak żałośnie jęczeli, że aż się przykro Jankowi zrobiło.

Patrzał on, patrzał na to wszystko, wkońcu sen skleił mu powieki; znużony przewrócił się na siano i zasnął głęboko.

Jak długo spał, nie wiedział. Obudził go silny krzyk i szarpnięcie. Otworzył oczy ale zaraz je przymknął, gdyż leżał twarzą wprost dymnika, przez który wkradał się jarzący promień słońca. Zdawało mu się przytem, że w tym blasku słonecznym ujrzał maleńkie, wyłupione oczka, wielkie wąsiska i czerwony jak rubin nos starego Franca — że stał on nad nim pochylony ze swą czarną, krostowatą twarzą, do połowy oblaną światłem, stał wlepiając swe małe okropnie groźne oczka w śpiącego i ruszając swymi wąsiskami. Oczywiście, myślał Janek, to senne marzenie, niezbyt przyjemne to prawda, ale sny nie zawsze są miłe. Z pewnością jest to sen, bo skądżeby się tu wziął w Nadarzynie Franc?

Janek chcąc odpędzić ten przykry sen i spać jeszcze dalej, gdyż oczy mu się ciągle kleiły, postanowił przewrócić się na drugi bok. Ale gwałtowne szarpnięcie i chrapliwy głos, oraz słowa:

— No, wstawaj ty mala Polak! — przekonały Janka, że nie ma do czynienia z sennem marzeniem, ale z rzeczywistością, ze straszną rzeczywistością. Przerażony do najwyższego stopnia, przetarł oczy, usiadł na swem posłaniu i widzi: przed

nim stoi Franc, ubrany w swój huzarski mundur, w wielki kołpak na głowie, z olbrzymiem szabliskiem u pasa i podpierając się pod boki, śmieje się głośno, rubasznie, ukazując szereg czarnych zębów. Za nim tłoczy się kilku huzarów i wszyscy ciekawie wychylają głowy, wpatrując się w Janka.

Franc tymczasem śmieje się, śmieje, a potem uchwyciwszy zestraszonego chłopca swą wielką, kościstą ręką za ramię, podniósł jak piórko, postawił na nogi, popchnął przed siebie i rzekł:

— Aj ty mala Polak, ty wielka huncfot, ty mnie uciekla z piwnica — ale Franc nie glupia, Franc zajrzala do piwnica i nie zobaczyla mala Polaka... he! he! he! siadla na koń i znalazla huncfot Polak — nu, marsz!

I trzymając silnie, jak w szponach, ramię Janka i śmiejąc się ciągle poprowadził go do schodów i gadał:

— Jeneral się ucieszy jak zobaczy mala Polaka huncfota — aj! aj! aj! jak się ucieszy... Mala huncfot będzie dyndala na szubienica... tak, tak, będzie dyndala, krygsrecht i fio! na szubienica...

Wyszli do ogrodu, na wielką, ogromnemi drzewami wysadzoną aleję. Janek, nie rozumiejąc jeszcze dobrze, co się z nim dzieje, podniósł głowę i ujrzał kłęby dymu i czerwonych płomieni unoszących się nad wioską. Widocznie Austryacy wieś zapalili. Jeszcze smutniej mu się teraz zrobiło na duszy — spuścił oczy i szedł milczący, przerażony

do głębi, podczas gdy Franc ciągle gadał i coraz silniej wpijał swe paznogcie w ramię Janka.

Tak idąc obeszli do koła pałac i wkrótce Franc z Jankiem stanęli na ganku, gdzie na krześle siedział otoczony oficerami rotmistrz von Lampe. Można wyobrazić sobie, jak się tem przeraził biedny chłopiec. Rotmistrz von Lampe obaczywszy Janka, wlepił w niego swe maleńkie siwe oczka i uśmiechając się swoim zwyczajem szydersko, zapytał Franca po niemiecku.

— Skąd jest ten chłopiec? — ja go gdzieś widziałem.

— To jest wielki hultaj, panie rotmistrzu — odrzekł Franc — wczoraj wieczorem w Łęgonicach kazał go jenerał zamknąć do piwnicy za to, że ukradł jakieś tam papiery.

— Aha, przypominam sobie — ale skąd on się tutaj wziął?

— Ja to panu rotmistrzowi opowiem — prawił Franc, prostując się — to wielki jest łotr ten mały Polak. Otóż jenerał kazał go zamknąć do piwnicy, choć mnie się to nie podobało, bo tam w tej piwnicy są dobre wina, bardzo dobre wina, prawdziwy Tokaj, i ten mały hultaj mógłby je wypić, a może nawet się upić. Wiadomo zaś panu rotmistrzowi, że wino, wogóle gorące trunki są niezdrowe dla dzieci, co mówię niezdrowe, szkodliwe nawet...

Rotmistrz poruszył się niecierpliwie i rzekł swym suchym, ostrym głosem:

— Do rzeczy, do rzeczy! niemam czasu słuchać twych głupstw stary ośle — gadaj, skąd się ten chłopiec tu wziął?...

— Skąd się wziął, panie rotmistrzu? uciekł hultaj z piwnicy przez jakiś loch na pół zawalony, pełen dziur i przepaści, a co najgorsza, szczurów. Ja panie rotmistrzu mam głowę nie od parady, choć jenerał, a za nim pan rotmistrz zaszczycają mię mianem osła...

— Czy ty skończysz dzisiaj, *Donner-wetter!* — krzyknął rotmistrz powstając z okiem zaiskrzonem, z ręką w kułak ściśniętą.

Franc cofnął się nieco przerażony i rzekł:

— Kończę, kończę panie rotmistrzu. Na czemże ja to stanąłem? a... mam głowę nie od parady. Więc zamknąłem w piwnicy tego małego łotra, dałem mu chleba i kawał pieczeni baraniej, przez litość tylko od własnych ust sobie odjąłem, choć pan jenerał jak najsurowiej mi tego zakazał, ale ja mam już takie poczciwe serce...

Wiemy dobrze, że tak nie było, że właśnie jenerał kazał dać Jankowi co zjeść, ale Franc chciał się w dobrem świetle przedstawić, więc kłamał.

— Obdarzyłem go tedy moją własną wieczerzą i zamknąłem w piwnicy i straż postawiłem przy drzwiach. Upłynęło tak z godzinę. Zgaga mię po-

częła piec i myślę sobie: tam w piwnicy jest dobre wino, bardzo dobre wino, prawdziwy Tokaj... Pojdę i utoczę go sobie w buteleczkę. To nawet jest obowiązkiem moim niszczyć tych Polaków, a przytem wino węgierskie powinni pić Węgrzy, a nie jakieś tam Polaki...

Rotmistrz szarpnął się znowu z gniewem ale uspokoił go jeden z oficerów, mówiąc:

— Daj pokój rotmistrzu, niech ten stary osioł wygada się, inaczej z nim do ładu nie trafimy.

Rotmistrz uznał widać słuszność tej uwagi, bo usiadł z rezygnacyą i rzekł:

— Mów dalej.

— Więc tedy, wziąłem duży gąsior, zapaliłem latarkę i idę do piwnicy — a myślę też sobie: jak się tam mój mały Polak zachowuje, zobaczę, czy śpi. Noc, jak wiadomo, była taka szkaradna, że tylko spać, zwłaszcza w piwnicy, gdzie powiadam panu, panie rotmistrzu, było tak ciemno, jak w grobie nieprzymierzając. Wchodzę tedy i patrzę gdzie mój Polak? — niema go. Słoma jest, siano jest, a Polaka niema. Uf! myślę sobie, źle — gotów mię jenerał jutro rozstrzelać. Wołam tedy straż i jeszcze jednego żołnierza i szukamy tego małego huncfota. Niema go i niewiadomo gdzie się podział. No, przecież się w ziemię nie zapadł, powiadam do kamratów — musi tu gdzieś być. Szukamy i znaleźliśmy miejsce którędy uciekł.

A huncfot! mądra sztuka — powiadam — mądra sztuka!

Odpoczął Franc, obrzucił strasznym wzrokiem Janka i tak dalej prawił:

— Za wielką i pustą beczką były drzwi ukryte — anim przypuszczał, żeby tam były drzwi, a ten huncfot wiedział o tem, otworzył je sobie i poszedł. Więc i my za nim. Loch długi, zrujnowany, aż strach. A co szczurów! jak żyję takich szczurów nie widziałem. Aleśmy się też natłukli tego paskudztwa. Powiadam panu rotmistrzowi, dobyliśmy szabli i rąbaliśmy ich ną zrazy, inaczej zjadłyby nas. Ja nie wiem jak ten mały Polak tamtędy przeszedł.

I obracając się do Janka zapytał po polsku:

— Ty mala Polak, ciebie szczura nie zjadla tam, w piwnica?

— Jak pan widzi...

— Hm! hm! — prawił dalej po niemiecku Franc, to jest zadziwiające. Idziemy tedy owym lochem, a dziur w nim, przepaści co niemiara. I doszliśmy do schodów, a potem do drzwi otwartych. Wyszliśmy i patrzymy, jakaś rudera. Ano, mówię ja do kamratów, ten mały Polak uciekł przez loch, a potem wyskoczył z tej rudery przez okno. Więc na dziedziniec idziemy i pytamy żołnierzy, czy nie widzieli tego huncfota. Widzieli go. A gdzie? Siedział na małym koniku i pojechał ku Pilicy. *Herr Jesus!* myślę sobie, ot, stary Franc

nadłożysz głową, jutro jenerał cię rozstrzela, jeśli małego Polaka nie złapiesz. Więc nie wiele myśląc, siadam na konia i lecę do Nowego-Miasta — pytam tutaj, nikt go nie widział. Jadę dalej i rozpytuję się po drodze — otóż natrafiłem na ślad, tu i tam widzieli go, jak o świcie pędził na małym koniku. Mam cię, huncfocie! gonię dalej, no i przyjechałem tutaj i zastałem naszych — pytam o małego Polaka, nikt nic nie wie, nie widziano go, przepadł jak kamień w wodę. Hm! myślę ja sobie, dotąd miałem jego ślad, który tu ginie, a więc i ten mały Polak tu być musi. Poszukajmy! Szukam tedy — wtem słyszę, porucznik Szafskopf każe bić na dziedzińcu jakiegoś Polaka. Tak ja przystanąłem sobie i patrzę — a ów Polak śpiewa, że jego jenerała ostrzegł jakiś mały chłopiec, który przyjechał od Nowego-Miasta.

Na te słowa porwał się z zaiskrzonemi oczami rotmistrz von Lampe i przyskoczywszy do Janka, krzyknął po niemiecku:

— Tyś ostrzegł księcia Poniatowskiego, ty?

Ale Janek, który podczas długiego opowiadania Franca miał czas przyjść do siebie, odrzekł spokojnie:

— Ja nie rozumiem co pan mówi.

Wówczas rotmistrz obrócił się do jednego z oficerów i rozkazał:

— Panie von Szmulski, wypytaj się pan tego hultaja.

Do Janka zbliżył się jakiś młody człowiek i spytał:

— Czy to prawda, żeś ty ostrzegł księcia Józefa?

— Tak, prawda.

— Dlaczego to uczyniłeś?

— Bom uważał to za swój obowiązek — każden Polak tak powinien postąpić.

Von Szmulski, zniemczony Polak, zarumienił się nieco i rzekł:

— Skąd wiedziałeś, że ma być zrobiona wycieczka dla schwytania księcia Poniatowskiego?

— Wysłuchałem wszystkich rozkazów, jakie co do tego wydał jenerał.

— Więc umiesz po niemiecku?

— Umiem.

Jak widzimy, Janek nie zapierał się wcale. Nie chciał plamić kłamstwem wielkości swego poświęcenia. Stał przed oficerami dumny, z okiem iskrzącem zapałem i odwagą. Gdy von Szmulski opowiedział wszystko, co Janek zeznał, rotmistrzowi, ten popatrzał na chłopca długo, a potem rzekł:

— Wziąć go pod straż — musimy go odstawić do głównej kwatery.

Zaraz kilku żołnierzy z dobytymi pałaszami otoczyło Janka i odprowadziło na bok. W kwadrans może potem rozległ się głos trąbki, wszyscy

dosiedli koni. Janka pomieszczono na wózku, który za wracającymi do Nowego-Miasta jechał z tyłu, pod strażą kilku Pandurów.

Tak więc biedny chłopiec jest znowu więźniem, ale teraz stokroć większe mu grozi niebezpieczeństwo, niż pierwszym razem.

ROZDZIAŁ VII.

Jakim sposobem dzielny Janek wyswobodził się z rąk austryackich i co potem się stało.

Smutny ale zrezygnowany na wszystko jechał Janek, na małym, trzęsącym szkaradnie wózku, za wojskiem austryackiem. Miało się już dobrze na południe i słońce dopiekało mocno — a przytem Jankowi potężnie się jeść chciało, od czasu bowiem pieczeni baraniej, którą z takim apetytem spałaszował w nocy, nic w ustach nie miał. Ale trudno — na wojnie, jak na wojnie, trzeba wszystko znosić i dziękować jeszcze Panu Bogu za to, że choć skóra cała.

Miał też na wózku towarzysza. Gdy przejeżdżali przez palącą się wieś, wsadzono mu na wózek huzara, rannego w nogę. Huzar był gaduła, a choć stękał czasem, zwłaszcza gdy wózek za mocno trząsł, przecież prawił różne zabawne historye, pobudzając do śmiechu Janka i czterech Pandurów, którzy jechali koło wózka na straży. Od tego

huzara dowiedział się Janek, że książę Józef Poniatowski szczęśliwie ocalał, że Austryakom nie udało się ani jednego polskiego ułana schwytać, że wprawdzie zabili kilku, ale i sami mają dziesięciu poległych i trzynastu rannych — że jednem słowem wyprawa się nie udała.

— Mówią — prawił dalej huzar — że ktoś ostrzegł księcia. No, gdybyśmy takiego łotra złapali, jak Bóg w niebie, jenerał by go powiesił.

Ze słów tych przekonał się Janek o rozdrażnieniu przeciwko niemu całego wojska, oraz, że nie czeka go zbyt przyjemne przyjęcie w Łęgonicach. Ale był zrezygnowany na wszystko — owszem, czuł się dumnym, że może ponieść w ofierze swe młode życie za kraj — że kiedy go bronić jeszcze nie jest zdolny, jak przystało na mężczyznę, to przynajmniej potrafi mu oddać wszelkie usługi, dopóki mu tylko sił starczy.

Takiemi ożywiony myślami, westchnął sobie do Boga, oddał się pod Jego opiekę i spokojny, pełen ufności, jechał dalej, słuchając wesołych opowiadań huzara. Słońce, jakeśmy powiedzieli, dopiekało mocno i szybko osuszyło ziemię zmoczoną nocnym deszczem. Wojsko przechodząc podnosiło ogromne tumany kurzu, poza ktorymi nic widać nie było. Szczęściem wjechali w las, w ktorym z powodu większego cienia, słonce nie mogło dostatecznie osuszyć ziemi, a zatem i kurzu nie było. Przyjemny chłód otoczył Janka, który patrząc na

drzewa, na wesoły szczebiot ptactwa, żałował że nie jest ptakiem, że nie może ulecieć i wydostać się z niewoli.

Kiedy tak Janek rozmyśla nad swoim losem, jeden z Pandurów obejrzał się i zwrócił uwagę swych towarzyszy na olbrzymie chmury kurzu podnoszące się na drodze za nimi, w odległości jakiej pół ćwierci mili. Wszyscy odwrócili głowy i z niepokojem patrzyli na coraz bardziej zbliżającą się kurzawę. Jankowi zdawało się, że od czasu do czasu między brudno-żółtemi płachtami kurzu, zabłyśnie coś jak szabla, zamigocze jak trójbarwista chorągiewka.

— O! gdyby to byli nasi! — szepnął.

A wtem ranny huzar, który także z wyraźnym niepokojem patrzał na kurzawę, rzekł do Pandurów:

— Tu niema co myśleć kamraci — niech dwóch z was zawróci i obaczy co to jest, jeden zaś niech poleci do rotmistrza i powie mu, że jakaś podejrzana kurzawa ukazała się za nami na drodze.

Ale Pandurom nie podobała się ta rada.

— My nie możemy odjeżdżać — my mamy rozkaz pilnować tego małego Polaka.

— A cóż wy myślicie! — zawoła z gniewem huzar — że on wam ucieknie? Jeden przecież zostanie, a i ja nie jestem od parady. Tego malca pilnować! tu los wojska jest ważniejszy niż pilno-

wanie tego malca. Od czegóż wy jesteście na tyłach? Kto nie pilnuje dobrze tyłów wojska, idzie pod krygsrecht i kulą w łeb.

Kiedy się tak sprzeczają, Janek ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze zbliżającej się szybko kurzawy. Czy miał lepsze oczy od otaczających go żołnierzy, czy też fantazya snuła mu zwodnicze obrazy, dość że zdawało mu się, jakoby widział kilkakrotnie najwyraźniej ułanki z piórkami amarantowo-białemi, chorągiewki, żółte rabaty, konie lecące pędem.

— Dadząż oni wam bigosu! — szeptał spoglądając z ukosa na coraz bardziej niepokojących się Pandurów.

Nakoniec te chmury kurzu zauważono widocznie i w wojsku postępującem przodem, gdyż odłączyło się od niego kilkunastu Pandurów i huzarów, i pod wodzą porucznika von Szmulskiego popędziło ku podejrzanej kurzawie. Ale nie ulecieli i trzech stajań, gdy nagle hukło kilka wystrzałów, rozległ się potężny okrzyk, porucznik von Szmulski i jego Pandurzy w nogi, a za nim mnóstwo ułanów z pochylonemi lancami, leci, goni, pędzi jak huragan!

Dopieroż to zrobił się zamęt nie do opisania w szeregach austryackich! Na nieszczęscie dla Austryaków droga w tem miejscu była wązka, z głębokimi, pełnymi wody rowami po obu stronach, tak że nie mogli się odwrócić, ani rozwinąć,

zwłaszcza, że wózek z Jankiem im przeszkadzał. Tymczasem ułani z nastawionemi do ataku lancami, przy których chorągiewki furkały głośno, przelecieli jak wicher koło wozu Janka, tratując wszystko, kłując i pędząc przed sobą przerażonych huzarów jak stado owiec. Jeszcze Janek nie oprzytomniał zupełnie, tak się to wszystko nagle stało, gdy na dzielnym białym koniu ubrany w mundur piechoty, nadjechał jakiś oficer polski z obnażoną szablą w ręku i zatrzymując się koło Janka, wołał na swoich głosem donośnym:

— Naprzód wiara! Nauczcie tych szołdrów moresu za zbójecką napaść!

Poczem pojechał dalej. Jeszcze koło wózka przeleciała jak lawa masa ułanów, potem wszystko znikło, ucichło, tylko zdala dochodził odgłos tętentu koni, wrzawy i huku wystrzałów. Janek obejrzał się, był sam. Woźnica uciekł, zostawiwszy konie i wózek na wolę Bożą, ranny huzar gdzieś zniknął, Pandury drapnęli i Janek został sam. Około niego, na drodze leżało paru ciężko porąbanych i pokłutych huzarów, ówdzie po lesie między drzewami rwał się i rżał jakiś koń ze złamaną nogą, w dali przewracały się kołpaki huzarów i świeciły dwie opuszczone przez wszystkich armaty, z kilku ludźmi zarąbanymi koło nich.

— Niemam tu czego czekać! — szepnął Janek, zeskoczył z wózka, podniósł rzucony na ziemię

pistolet huzarski, przeskoczył przez rów i znikł wśród gęstwiny drzew.

Biegł przed siebie, uważając i słusznie, że im dalej będzie od pola bitwy, tem będzie bezpieczniejszym. Dopóki więc tylko dochodził go odgłos wrzawy, dopóty uciekał — ale wkońcu ogarnęła go wielka, poważna cisza leśna, przerywana tylko szmerem liści i owadów, lub poświstem wiatru po szczytach drzew. Janek uczuł się tak zmęczonym, że położył się na murawie pod dębem, i choć opędzał się przed snem jak mógł, przecież wkrótce zasnął.

Dobrze już było pod wieczór, kiedy się obudził. W lesie panował szary mrok, choć niebo jaśniało jeszcze czerwonym blaskiem od zachodzącego słońca. Tysiące muszek i komarów napełniało brzękiem powietrze. W głębi lasu w czarnych jego ciemnościach, rozlegał się ponury krzyk sowy.

Janek podniósł się, przetarł oczy, rozejrzał dokoła i począł rozmyślać nad swem położeniem. Był sam, wśród nieznanego sobie lasu, nie wiedząc gdzie się obrócić wobec zapadającej nocy, głodny okropnie i spragniony. Co tu robić, skąd znaleźć choć kawałek chleba, choć kropelkę wody, którąby mógł odswieżyć spieczone gorącem usta. Przerażały go przytem szybko wśród drzew zapadające ciemności — koło siebie, w odległości dziesięciu może kroków rozróżniał jeszcze pojedyncze drzewa,

ale dalej leżała czarna, nieprzejrzana noc. Bał się zostać w tym lesie, obawiał się by go nie napadł dziki zwierz.

Myśląc o tem, włosy mu powstały na głowie i kroplisty, zimny pot wystąpił na czoło. Oglądał się trwożliwie dokoła i zdawało mu się co chwila, że widzi w głębi leśnej świecące się oczy wilka że słyszy groźne mruczenie niedźwiedzia. Każden, huk puszczyka odzywał się w nim przyspieszonem biciem serca. Nie śmiał się ruszyć z miejsca — i siedział ciągle pod drzewem przerażony śmiertelnie.

Ale wkrótce począł się śmiać ze swego dziecinnego przestrachu. Przypomniał sobie, co nieraz mówił mu stary Marcin, że w tych stronach kraju wilki są rzadkością, a o niedźwiedziu nikt od stu lat nie słyszał nawet. Zresztą wilk w kwietniu nie jest niebezpieczny.

Jak poprzednio był przerażony, tak teraz odważny. Zerwał się na nogi, zaśmiał głośno, aż echo po nim zaśmiało się po lesie, i rozglądając się dokoła, spostrzegł leżący na murawie pistolet, który podniósł rano na drodze, uciekając z wózka.

— Mam broń! — zawołał — mogę sobie drwić ze wszystkich wilków i niedźwiedzi. Niechno który zbliży się do mnie, a poczęstuję go kulką tak, że na wieki przestanie napadać ludzi po lesie.

Obejrzał skałkę, spróbował czy nabity, a prze-

konawszy się, że tak jest, śmiało postąpił parę kroków.

— Teraz już niczego się nie boję — mówił — tylko mi się jeść okropnie chce, a i pić także. Żeby choć kroplę wody skąd dostać! Chyba zawrócę ku gościńcowi, tam w rowach jest woda. Tak, tak, najlepiej będzie iść ku gościńcowi, dostanę się do jakiej wsi, nakarmią mię ludzie, przynajmniej z głodu nie umrę.

Nieszczęściem, stracił zupełnie pojęcie, w której stronie znajduje się gościniec — nie wiedział gdzie się skierować. Po długim namyśle, niepewny, zniechęcony znowu, ruszył w stronę, gdzie mu się zdawało, że powinna być droga.

Tymczasem noc zapadała zupełna i w lesie zapanowały nierozjaśnione niczem ciemności. Ponad drzewami tylko widać było kilka migocących gwiazdek. Zerwał się przytem, jak zwykle pod wieczór, chłodny wietrzyk, niezbyt przyjemny wśród nocy, w lesie, zwłaszcza wtedy jak się jeść chce. Znów zabobonna trwoga opanowała Janka — szedł oglądając się dokoła, nadsłuchując i zatrzymując się za lada szelestem, jaki doszedł do jego ucha. Wszystko to męczyło go daleko więcej niż głód i znużenie.

Wtem gdy tak idzie i ogląda się trwożliwie, zdawało mu się, że słyszy jęk, niedaleko od siebie. Stanął, zatrzymując oddech w sobie i wytężając słuch. Jęk się powtórzył. Wśród ciszy leśnej w nocy,

jęk ten przybierał jakiś wyraz smutku, skargi, płaczu, żalu...

Janek nie wiedział co to znaczy. Stał ukryty za drzewem, z ręką na cynglu pistoletu, przerażony okropnie. Gdy jednak jęki ciągle się powtarzały, w rozpaczliwej odwadze, postanowił się przekonać coby to było.

— Przecież jest jakaś żyjąca istota w tym pustym lesie... szepnął i posunął się w kierunku zasłyszanego jęku. W miarę jak się zbliżał, jęki były coraz donośniejsze, coraz wyraźniejsze. Idąc tak, Janek nagle ujrzał coś białego, szerokiego, coś nieruchomie leżącego na ziemi. Nie mógł zrozumieć coby to było — a jęki wciąż powtarzały się, coraz bliżej, tuż prawie przy nim.

Schylił się i przy tej trosze światła, jaka jest nawet wśród największych ciemności, spostrzegł pod nogami swemi leżącą małą psinę, skowyczącą żałośnie.

— A więc to ty biedaku jęczałeś tak okropnie — rzekł Janek, głaszcząc psa po głowie, cóż ci to jest i czemu się nie podniesiesz?

Pies istotnie włóczył się u nóg Janka, skowycząc ciągle i liżąc mu ręce. Nie wiele myśląc, podniósł go Janek i przekonał się, że psina ma strzaskane szkaradnie obydwie tylne nogi.

— O biedny piesku — zawołał — któż tak niegodziwie z tobą postąpił!

Pies tulił się do niego, lizał mu ręce i jęczał

tak smutno, tak żałośnie, że Janek uczuł łzy w oczach.

— Cóż ja ci poradzę — ja sam jestem opuszczony! — szeptał.

Podniósł głowę i spostrzegł znowu ową białą płachtę, leżącą nieopodal na ziemi, którą już poprzednio zauważył.

— Co to być może? — spytał sam siebie i posunął się naprzód. Na wielką swoją radość przekonał się, że to wielka kałuża wody, która zapewne utworzyła się z deszczu poprzedzającej nocy i świeciła pod blaskiem gwiazd biało, podobna do płachty leżącej na ziemi.

Podziękował Bogu za to odkrycie, ugasił pragnienie, obmył nią zakrwawione nogi psa, potem wydobył z kieszeni chusteczkę, zmaczał ją, rozdarł na dwie połowy i starannie obwiązał połamane nogi psiny. Ten jęczał z bólu, ale zachowywał się spokojnie, jak gdyby rozumiał, że to co z nim robią, robią dla jego dobra — lizał tylko biedak ciągle ręce Janka.

Opatrzywszy rannego swego towarzysza, Janek wziął go na ręce, wstał i poszedł dalej, odważniejszy już teraz i spokojniejszy, szukać gościńca.

ROZDZIAŁ VIII.

Janek błądzi w lesie, dostaje się w ręce bandy cyganów i zapoznaje się z Cyngą.

Długo, bardzo długo Janek błądził po lesie i upragnionego gościńca znaleźć nie mógł. Ciągle widział przed sobą i dokoła siebie las i las; kilkakrotnie nawet tak stracił całkowicie pojęcie kierunku, że wracał nad ową kałużę wodną, przy której ugasił pragnienie i znalazł ciężko poranionego psa. Tem błądzeniem, tem fatalnem kołowaniem tak był znużony, że co chwila musiał spoczywać, zwłaszcza że pies, którego ciągle niósł na ręku, ciążył mu bardzo — a przecież nie rzucił go, nie pomyślał o tem wcale. Dokuczał mu mocno głód i gdyby nie to, gdyby nie chęć wyszukania gdziekolwiek jakiego pożywienia, byłby usiadł i przeczekał w lesie do rana — ale czuł, że jak spocznie, to rano nie będzie się już mógł z osłabienia podnieść.

Wlókł się więc dalej słaby, tracąc energię, je-

dynie pędzony głodem. Teraz znalazł się, jak mu się zdawało, w całkiem nieznanej sobie części lasu. Dotąd błądził między staremi drzewami, które tworząc u góry zbitą masę gałęzi, u dołu były nagie i nie dozwalały rozszerzać się drobnej roślinności — teraz wszedł widocznie w młody lasek, dobrze jak to mówią podszyty, pełen drobnych, gęsto rosnących drzewek, przez które z trudnością torował sobie drogę. Lękając się o rannego psa, musiał ostrożnie stąpać i co chwila odchylać bujnie rosnące gałęzie, co go męczyło niezmiernie i w końcu tak zmęczyło, że padł raczej niż siadł na wolniejszem miejscu i zaczął gorzko nad swym losem płakać.

— Niech się co chce ze mną dzieje — szepnął — już dalej iść nie mogę.

I w głębi duszy począł sobie robić wyrzuty, że opuścił Łęgonice, że się rzucił w szereg awantur, które nikomu korzyści nie przynoszą, a jego samego narażą na nędzną, wśród lasu, śmierć głodową.

— Nie lepiej było spać teraz w wygodnem łóżeczku? — mówił sobie.

I w wyobraźni jego rysowało się ponętnie to ciche, ciepłe i spokojne jego łożko w dworze Łęgonickim. O! jakaż różnica między tym spokojem a tym ponurym, chłodnym lasem — coby on dał za to, żeby mógł być teraz w swym pokoju!

Ale wkrótce przeminęła ta mimowolna, wywołana głodem i znużeniem, słabość.

— Pfe Janku — mówił sobie — wstydź się, to co zrobiłeś, dobrze zrobiłeś, powinieneś był zrobić. Czyż to ty pierwszy jesteś w takiem położeniu? Przypomnij sobie, coś czytał w historyi o królu Łokietku, jak musiał uciekać, kryć się po jaskiniach leśnych przed Czechami, a on przecież był królem, a ty czem jesteś? sierotą nieznanym. Dalej, podnieś głowę i pokaż, że umiesz znosić zimno i głód, jak przystało na mężczyznę!

Myśli te, te wspomnienia ożywiły w chłopcu gasnącą odwagę. Podniósł dumnie głowę i rzucił śmiało spojrzenie w las, jak gdyby wyzywał do walki wszystkie niebezpieczeństwa. Ale w chwili gdy tak patrzał przed siebie z dumą i odwagą, zdało mu się, że widzi w dali, między drzewami, jakieś czerwone światełko, podobne do bardzo odległego ognia. Zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Bóg mi pomoc daje! Bóg mi pomoc daje!

Pies także zaskowyczał radośnie, Janek ucieszony niezmiernie, z bijącem sercem puścił się śmiało w kierunku owego światełka. Jakoż, im bliżej się ku niemu przysuwał, tem wyraźniej widział wielkie ognisko, rysujące się wybitnie na ciemnem tle nocy i lasu.

— Jeżeli jest ogień, to muszą być i ludzie! —

mowił sobie Janek -- jakoż wkrótce usłyszał szczekanie psa.

Potem zbliżając się coraz więcej, dostrzegł kilkoro ludzi kręcących się koło ognia, a gdy stanął od ogniska w odległości jakich dwudziestu kroków, ujrzał kilkanaście kobiet, mężczyzn i dzieci siedzących dokoła ognia, przy którym stał wielki kocioł z gotującą się zapewne wieczerzą. Z boku nieco, przy dwóch wozach pokrytych budą z płótna, siedział krwawo oświecony blaskiem ognia, stary mężczyzna, z dużą siwą brodą i trzymając w jednym ręku fajkę dymiącą się, drugą przyłożył do oczów, dla osłonięcia się od światła ogniska i patrzał w głąb lasu, w tę stronę, z której Janek przybywał. Obok niego rwał się i szczekał zajadle ogromny, czarny pies, przywiązany na łańcuchu do wozu. Wszyscy zresztą, tak kobiety jak i mężczyźni siedzący wkoło ognia spoglądali w las — nagie, okryte gdzieniegdzie tylko łachmanami dzieci powybiegały nieco naprzód, jak gdyby chciały przeniknąć ciemności i zobaczyć, kto się do nich zbliża.

Janek zatrzymał się na chwilę, przypatrując się temu dziwnemu obrazowi, wśród czarnej puszczy leśnej. Mimowolnie powstała w nim pewna nieufność, przez chwilę nawet zamyślał się cofnąć, ale wkrótce porzucił ten zamiar, raz że z kotła zalatywał go zapach gotowanego mięsa, co dla jego zgłodniałego żołądka było nie lada przynętą, po-

wtóre, że siedzący na uboczu stary mężczyzna powstał, odwiązał łańcuch z olbrzymim psem od wozu, wziął wielki sękaty kij do ręki i coś przemówił do siedzących koło ognia. Na te jego słowa zerwało się zaraz czterech młodych drabów i każden z nich chwytając kij, czekał na rozkazy starca.

Widząc to Janek miał wielką ochotę drapnąć, ale zastanowiwszy się, że przy swem osłabieniu nie zdoła uciec przed pogonią psa i czterech silnych mężczyzn, oraz że cokolwiekbądź, znajdzie u tych ludzi jakąkolwiek pomoc i posiłek, postanowił pójść do nich śmiało i zażądać gościnności u ich ogniska. Był prawie pewny, że to są cygani, o których nasłuchał się w dzieciństwie tysiące historyj — ale, pomyślał sobie, lepsza niewola u cyganów, niż śmierć z głodu. Puścił się więc naprzód, i w chwili gdy siwy starzec zamierzał widocznie na czele czterech drabów poszukać w lesie niepokojącego ich gościa, nasz bohater stanął przed ogniskiem.

Nim zdołał się rozejrzeć, został już otoczony dokoła przez cyganów, których czarne jak węgiel oczy patrzyły na niego z niedowierzaniem i nieufnością. Wszyscy byli obdarci, brudni, niechlujni, a dziki, okrutny wyraz ich twarzy wśród ciemności nocy, krwawego odblasku ognia, budził w Janku grozę i przestrach. Tem przykrzejsze robiło to wrażenie, że wszyscy milczeli jak zaklęci. Nakoniec

Janek zdobywając się na odwagę, chciał przemówić, gdy nagle stanął przed nim ów siwy, stary cygan i opierając się oburącz na swym sękatym kiju, wpoił w Janka swe duże, iskrzące się, czarne oczy i spytał chrapliwym głosem:

— Czego tu chcesz?

— Proszę was, panie cyganie — zaczął zalękniony Janek — zabłądziłem w lesie... jeść mi się okropnie chce.

— Skąd jesteś?

— Z Łęgonic.

— Z Łęgonic?... gdzie to są Łęgonice?

— O! daleko stąd, za Pilicą.

— A skąd się tu wziąłeś?

— Jeździłem do Nadarzyna i zabłądziłem w lesie.

— Czy sam tu jesteś?

— Sam.

— Po co jeździłeś do Nadarzyna?

Janek zawahał się chwilę czy ma prawdę powiedzieć, ale brzydząc się kłamstwem, postanowił wszystko wyznać. Opowiedział zatem staremu cyganowi, który ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku, swe przygody poprzedzającej nocy i następnego dnia, opowiedział swe błądzenie po lesie, historyą ze znalezionym zranionym psem i skończył na prośbie, żeby mu dali co jeść, żeby pozwolili odpocząć, a jutro rano pokazali mu, którędy można wydostać się na gościniec.

— Ja wam panie cyganie ślicznie za to podziękuję, bo zapłacić niemam czem — niemam ani grosza.

— A gdzież ty chcesz jutro rano iść? — spytał cygan, wysłuchawszy w milczeniu prośby Janka.

— Do Łęgonic.

— Czy tam są jeszcze Austryacy?

— Zapewne że są.

— No, to jak cię złapią, powieszą cię...

— Hm! to być może... ale cóż ja mam robić?...

— Co masz robić?... zobaczymy! Teraz siądź u naszego ognia, kobiety ci dadzą jeść, a jutro dowiesz się co masz robić.

To rzekłszy z wielką powagą wyprostował się, przemówił parę słów w cygańskim zapewne języku do otaczających, i poszedł ćmiąc fajkę na swe dawne miejsce koło wozu, nie spojrzawszy nawet więcej na Janka. Tymczasem całe zgromadzenie powróciło do ogniska, a młody jakiś wyrostek, liczący może ze szesnaście lat, zbliżył się do Janka, wziął go za rękę i wyszczerzając szereg białych jak kość słoniowa zębów, rzekł:

— Chodź, dostaniesz jeść.

I poprowadził go do ogniska, gdzie zrobiono mu miejsce i nie opuszczał go już ani na chwilę. Zaraz potem, stara, chuda, pokryta łachmanami i brudna cyganica, zaczerpnęła ogromną warząchwią z kotła i wlała na miskę nieco kapuśniaku,

w którym sterczał kawałek kości z odrobiną mięsa. Jedzenie to wraz z drewnianą łyżką podano Jankowi

Bohater nasz zjadł połowę, a choć był głodny jeszcze, oddał drugą połowę rannemu psinie, który z wielkim apetytem połknął wszystko, wylizując starannie miskę. Cyganie też tymczasem jedli, myśląc zapewne, że Janek ma dosyć i że nie zasługuje na to, by mu więcej dawano. Kocioł został wkrótce wypróżniony, zdjęto go więc z ognia i zaniesiono na wóz.

Wtedy wyrostek cygański rzekł do Janka, wciąż wyszczerzając swe ostre i białe zęby, co zapewne u niego miało być przymileniem:

— Teraz śpij!

Jankowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Był ogromnie znużony, same oczy kleiły mu się do snu. Owinął się więc swym płaszczykiem, okrył nim rannego psinę, ułożył się jak mógł najlepiej na miękkiej murawie i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz, ledwie świt szary rozjaśnił nieco mroczne głębie lasu, obudzono Janka. Otworzył oczy i choć chciało mu się jeszcze spać, musiał jednak zerwać się na nogi, gdyż jego towarzysz wczorajszy, młody wyrostek cygański, widocznie dany mu za dozorcę, szarpał go mocno i jak zwykle pokazywał szereg białych zębów, co niewiadomo, czy uśmiech, czy też gniew znaczyło.

Janek powstawszy ujrzał wozy cygańskie już zaprzężone i spakowane — na jednym z nich siedziały stare kobiety i dzieci — wszystko było gotowe do podróży. Stary cygan stał na uboczu i paląc nieodstępną fajkę, rozmawiał po cichu z dwoma innymi.

— Czy my pojedziemy? — spytał Janek swego towarzysza.

— Tak.

— A nie wiesz dokąd?

— Hm! — ruszył ramionami cygan, wyszczerzając zęby — to tylko Romno wie.

— A któż to jest Romno?

— O ten! — mruknął, wskazując wzrokiem na starego cygana.

— To wasz król?

— Tak.

Teraz Janek począł się uważniej przypatrywać Jego Królewsko-Cygańskiej Mości. Istotnie wyglądał on bardzo poważnie i ubrany też był wspanialej, a nadewszystko cało i porządnie, czego o jego poddanych nie można było powiedzieć. Wciąż stał na uboczu i paląc fajkę rozmawiał z dwoma cyganami.

Tymczasem wyrostek rzekł do Janka:

— Będziesz jadł?

— I owszem — i mojej psinie wartoby dać śniadanie.

Cygan nic nie rzekł, tylko sięgnął ręką w za-

nadrze, wydobył kawałek czarnego chleba, rozłamał go na dwoje i dając jedną połowę Jankowi, rzekł:

— Masz, jedz!

Janek podziękował mu pięknie i spytał:

— Jak się ty nazywasz?

— Cynga.

— Mój Cynga, ty będziesz moim przyjacielem.

Cynga wlepił w Janka swe duże, czarne, palące jak ogień źrenice i miał coś odrzec, gdy nagle rozległo się gwizdnięcie — więc tylko rzekł:

— Jedziemy! — Romno gwizda.

Jakoż cała ta banda postępując około wozów ruszyła jakąś boczną, nieuczęszczaną widocznie drożyną, pełną zielska i wybojów, w głąb lasu.

ROZDZIAŁ IX.

Smutny początek znajomości z Cyngą i bohaterska śmierć znalezionego przez Janka pieska.

Podróż ta była bardzo uciążliwa. Romno dalej w lesie siadł na jakiegoś konika, którego mu przyprowadził jeden z cyganów, zapewne ukradłszy go gdzie na pastwisku i jechał na przedzie. Za nim szły młodsze kobiety i dzieci, potem wóz ze sprzętami i kotłem, potem drugi z kobietami i maleńkiemi dziećmi. W tyle samym i po bokach postępowali mężczyźni uzbrojeni w wielkie, mocno żelazem okute pałki. Wyglądali oni dziko, strasznie i Janek w coraz smutniejszych pogrążał się myślach co do swej przyszłości w tej bandzie.

Szedł on ciągle mając przy sobie Cyngę, z boku wozów, które z trudnością posuwały się wązką, zepsutą, pełną wybojów i korzeni drożyną leśną. Wesoły poranek się robił — z poza drzew przeglądało niebo rumiane jak wiśnia i złote. Ptaki po lesie świergotały, wiatr przynosił przyjemną, roz-

koszną woń żywicy i świeżości. Janek chciał pogadać z Cyngą, chciał dowiedzieć się od niego, dlaczego go zatrzymano i co myslą z nim zrobić, ale że koło nich kręcili się ciągle starsi cyganie, więc nie mógł. Cynga też szedł milczący, nucąc pod nosem jakąś dziką piosenkę cygańską.

Wkońcu przecież, gdy wyjechali na szerszą i rowniejszą drogę, tak że na chwilę Janek znalazł się sam ze swym towarzyszem, przysunął się do niego i rzekł:

— Powiedz mi Cynga, co wy myślicie ze mną zrobić?

Cynga nic nie odpowiedział, tylko spojrzał jak to mówią z podełba i nieznacznie obrzucił swym bystrym wzrokiem starych cyganów i odległość wozu, a przekonawszy się, że go nikt usłyszeć nie może, szepnął:

— Słuchaj ty młody paniczu, Cynga cię kocha, Cynga ma takie serce, że kocha wszystkich, co mają takie oczy jak twoje... więc Cynga ostrzega młodego panicza, ażeby nic nie gadał, o nic nie pytał, bo tu wszyscy, nawet sam Romno, nawet stara Mokryna ma na niego zwrócone oczy...

— Któż to jest stara Mokryna?

— Tss... — syknął Cynga i wyszczerzając zęby niby się śmiejąc, szepnął — ona siedzi na wozie i patrzy na nas.

Potem odwrocił głowę od Janka i począł po dawnemu nucić swą smutną, dziką i monotonną

piosnkę. Janek zaciekawiony jego słowami do najwyższego stopnia, spojrzał na ową Mokrynę. Siedziała ona na wozie, otulona w czerwoną płachtę, twarzą do obu chłopców a bokiem do koni, z nogami spuszczonemi na dół i wzrokiem dzikim, pełnym tajonej złości, mierzyła Cyngę i Janka. Ten ostatni spojrzawszy na nią, mimowolnie się wstrząsnął od uczucia pewnej bojaźni i grozy. Jakoż było się czego przestraszyć. Z pod czerwonej, podartej i brudnej płachty, którą Mokryna odziana była, wydobywało się kilka kosmyków, niegdyś czarnych, dziś siwych włosów, które w nieładzie spadały jej na opalone i bruzdami poorane czoło. Wielkie, nastroszone i krzaczaste brwi ocieniały głęboko zapadłe, czarne jak węgiel i żarzące się oczy. Twarz ciemna, sucha, pomarszczona dopełniała obrazu tej istnej wiedźmy. Chuda, koścista, podobna do szponów jastrzębia ręka, przytrzymywała czerwoną płachtę. Mokryna siedziała nieruchomie na wozie, wyprostowana, z okiem wlepionem w Janka.

Ten widząc te straszne oczy wpatrzone w siebie, mimowolnie się przeraził i odwrócił głowę. Zaraz potem rozległ się suchy, chrapliwy głos Mokryny, która zawołała jednego ze starszych cyganów i coś mu szepnęła do ucha, wskazując oczami na Cyngę i Janka. Janek widział, ale nie rozumiał, coby to miało znaczyć, choć jakieś smutne miał przeczucia, które nabyły pewności gdy spojrzał na



Książę krzyknął: Pędem naprzód marsz!

Cyngę. Ten stanął i z okiem szeroko rozwartem, blady śmiertelnie, patrzał na rozmowę Mokryny z cyganem, nieruchomy jakby skamieniały, widocznie przerażony do głębi.

Tymczasem cygan rozmawiający z Mokryną odszedł od niej i stanąwszy przy dwóch swoich towarzyszach, coś im powiedział, poczem zawołano Cyngi. Ten milcząc zwrócił się i spojrzał na Janka, który na wielką boleść swoją dostrzegł w oku poczciwego Cyngi dużą łzę, toczącą mu się po policzku. Z tem wszystkiem bohater nasz nie rozumiał o co tu idzie i co to wszystko znaczy. Patrzał za idącym ku cyganom Cyngą, widział jak stanął przed nimi, jak im się z czegoś tłómaczył, czego Janek zrozumieć nie mógł, gdyż mówili w nieznanym mu języku — nakoniec na wielką swą boleść i przerażenie, ujrzał jak dwóch drabów porwało Cyngę, jeden za nogi, drugi za głowę, jak go wyciągnęli w powietrzu, a trzeci, ten sam który z Mokryną rozmawiał, począł wymierzać batem chłopcu ciężkie razy...

Cynga jęczał boleśnie, dusząc w sobie krzyk, a dzieci i kobiety siedzące na wozach za każdem uderzeniem śmiały się, klaskały w ręce i dzikimi okrzykami zachęcały bijącego do mocniejszych uderzeń. Janek jak żyje nic podobnego nie widział — oburzony, wściekły prawie, zbliżył się do wozu i grożąc pięścią jakiemuś brudnemu chłopakowi, który najgłośniej krzyczał, zawołał:

— Ach ty poczwaro! dam ja ci śmiać się z cudzego nieszczęścia — i chciał chłopaka uczęstować porządnie pięścią. Ale powstrzymała mu podniesioną już rękę stara Mokryna, która niepostrzeżenie zeskoczywszy z wozu, stanęła przy Janku i chwytając go za ramię, szarpnęła nim mocno i pchnąwszy go na bok, syknęła:

— Won, ty... ty... mały psie.

I gdy właśnie w tej chwili skończyła się egzekucya Cyngi, Mokryna obróciła się do oprawców i głosem donośnym i chrapliwym poczęła coś do nich mówić, wskazując swym chudym, kościstym palcem na Janka. Oczywiście ten był jak najmocniej przekonany, że czeka go los Cyngi. Śmiertelny strach go opanował, włosy mu na głowie powstały, kiedy ujrzał ogromnego cygana z batogiem w ręku zbliżającego się do niego.

— Chcą mię tak samo bić jak Cyngę, w oczach tych szkaradnych kobiet i dzieci, które się będą ze mnie śmiały — pomyślał Janek i dodał:

— Nie! nigdy!

I nie czekając aż straszny cygan z batogiem stanie przy nim, obejrzał się dokoła i widząc przed sobą gęsto zarosły las, rzucił się w bok i począł uciekać co miał sił. Nie zważał na to, że gałęzie gęsto podszytego lasu młodemi drzewkami biły go i raniły po twarzy, że darły mu ubranie, tylko uciekał, uciekał, gnany śmiertelnym strachem. Słyszał, jak w chwili gdy rzucił się do ucieczki, roz-

legł się donośny krzyk mężczyzn, kobiet i dzieci, jak dudniała ziemia pod nogami kilku cyganów, ktorzy widocznie poczęli go ścigać, potem gdy zagłębił się w gąszcz leśny, wszystko ucichło, tylko rozlegał się trzask łamanych przez niego samego gałęzi lub krzyk spłoszonego ptaka.

Janek zmęczony, zdyszany, podrapany, nie słysząc za sobą pogoni, zatrzymał się na chwilę ażeby chwycić nieco powietrza i rozpatrzeć się w swem położeniu.

Znajdował się pośród niezmiernie gęstych zarośli leśnych, pośród tysiąca drobnych sosienek, brzóz i dębczaków, wysokich zaledwie na jakie dwa do trzech łokci i tak blizko siebie rosnących, że na dwa kroki przed sobą nic nie było widać. Janek uznał, że lepszego ukrycia znaleźć niepodobna, że jeżeli jeszcze kilkanaście kroków posunie się naprzód, zachowując wszelką ostrożność, żeby nie łamać gałęzi, to cyganie w żaden sposob nie będą go mogli znaleźć. Stał jeszcze przez chwilę słuchając pilnie, czy nie dobiegnie go jaki hałas — ale wszędzie było cicho. Uspokoił się więc zupełnie, choć piesek, którego wczoraj ocalił i którego niósł ciągle na ręku i w ucieczce nawet nie porzucił, kręcił się niespokojnie, nadstawiał uszów i zdawał się nalegać na Janka, żeby szedł dalej.

Ale Janek ucieszony, że wymknął się cyganom, nie wiele na to zważał. Odpocząwszy sobie przez chwilę, począł posuwać się naprzod, ostrożnie uchy-

łając gałęzi i drzewek, żeby ich nie łamac i nie zostawiać tym sposobem za sobą śladu. Każda gałąż, każde drzewo z łoskotem wracało po przejściu Janka do dawnej swej pozycyi i zdawało się tworzyć nieprzebytą zaporę między nim a cyganami. W ten sposób uszedł kilkanaście kroków i znalazłszy nieco wolniejszego miejsca, zmęczony moralnie i fizycznie, położył się na bujnem zielskiem pokrytej ziemi.

Wyciągnął się wygodnie — obie ręce podsunął pod głowę i przez zbite drobne gałązki drzew spojrzał w niebo. Było jasne, czyste, błękitne. Wokoło Janka panowała wielka cisza — dochodził go tylko świergot ptactwa i brzęczenie drobnych muszek, które w barwnych gromadach drżały na skwarze słonecznym. W górze pod niebem unosił się jak czarna maleńka plamka jakiś ptak, zapewne sokół lub kania, upatrując zdobyczy.

Janka ten spokój natury, to bezpieczeństwo, ta poważna cisza, zupełnie przekonały, że niema się czego lękać ze strony cyganów. Widocznie przestali go ścigać, zapomnieli o nim — myślał sobie. I potem mówił, że dobrze zrobił, iż ich porzucił — coby on z nimi robił? Cyganie to złodzieje, rabusie a przytem straszni ludzie. Najlepszy miał tego dowód na ich obejściu się z Cyngą. Żal mu było tego dobrego, poczciwego wyrostka cygańskiego — przypomniał sobie smiertelną bladość jego twarzy, kiedy go stary cygan zawołał, jego wielką łzę to-

czącą się po policzkach. Burzył się jeszcze teraz na wspomnienie szkaradnych, ohydnych, bezlitośnych krzyków kobiet i dzieci, podczas gdy Cyngę bito niemiłosiernie. Zapewne i jego taki sam los by spotkał — więc cieszył się że uciekł, że zdołał się tak łatwo wysunąć z pośrodka wstrętnej bandy cygańskiej.

I był zupełnie spokojny, bo i czegóżby się miał niepokoić w głębi swego leśnego ukrycia, wśród niczem nieprzerwanej ciszy? Nie zważał wcale na to, że jego piesek, umieszczony na ziemi, ciągle się kręcił, nadstawiał uszów, a nawet wkońcu popełznął na swych trzech zdrowych nogach ku tej stronie, z której przed chwilą przybyli i z pyszczkiem podniesionym zdawał się coś niespokojnie wietrzyć. Janek wciąż na to nie zważał, spoczywał wyciągnięty na ziemi, z rękami podłożonemi pod głowę i gonił wzrokiem czarną plamkę sokoła, kołyszącego się wśród lazurów. Był zmęczony, oczy mu się kleiły do snu i myślał już o zrzuceniu z siebie płaszczyka, zrobieniu z niego poduszki i przespaniu się, gdy nagle tę niemą kontemplacyę i ten bezpieczny spokój naszego bohatera przerwał straszny i niespodziewany wypadek.

W chwili bowiem, gdy podniósł się nieco, zamierzając zrzucić z siebie płaszczyk, rozległ się nagle trzask gwałtownie łamanych gałęzi, i zaraz potem donośne, zajadłe szczekanie — i na skraju maleńkiej polanki, na której Janek leżał, ukazał

się potworny łeb psa cygańskiego. Stał on do połowy wychylony z gąszczu leśnego, z paszczą rozwartą, ukazując szereg strasznych zębów, zziajany, z językiem wywieszonym, z sierścią najeżoną na grubym karku, z oczami krwią zaszłemi. Stał i ujadał zaciekle, głośno, a odgłos jego szczekania rozlegał się po lesie donośnie.

Janek ujrzawszy się zdradzonym, wyśledzonym, skamieniał odrazu, ale odzyskując przytomność i energią, zerwał się na nogi i chciał uciekać, gdy pies zobaczywszy to, rzucił się ku niemu. Janek był bezbronny, nie miał nawet kija w ręku, w jednem mgnieniu oka poznał więc, że walka z olbrzymim i dzikim psem do niczego nie doprowadzi. Mimowolnie, w najwyższem przerażeniu cofnął się parę kroków wstecz, gdy nagle przyszła mu pomoc ze strony całkiem niespodzianej.

Maleńki ów piesek, którego wczoraj ocalił i który tyle niepokoju okazał podczas spoczynku Janka, w chwili gdy olbrzymi buldog cygański skoczył ku jego zbawcy, rzucił się naprzód i uwiesił się u szyi swego nieprzyjaciela, wpijając w nią wszystkie swe zęby i pazury trzech zdrowych łap. Buldog jęknął boleśnie i usiłując się oswobodzić od szarpiącego go pieska, zatrzymał się — wtedy Janek korzystając z chwili, chwycił za drzewko w pobliżu stojące, złamał je i właśnie zamierzał tym kijem uderzyć z całej siły w łeb buldoga, gdy nagle na skraju polanki ukazała się głowa tego

samego cygana, który bił Cyngę. W tymże momencie buldog zdołał się oswobodzić od bohaterskiego pieska i rzuciwszy go na ziemię, rozszarpywał z wściekłością. Janek widział jeszcze oczy biednego pieska zachodzące mgłą i wlepione w niego żałośnie — ale nie było czasu o tem myśleć. Cygan stał już na polance z batogiem w ręku i strasznym, dzikim wzrokiem spoglądał na Janka.

Ten zdjęty śmiertelnym przestrachem rzucił się w gąszcze i począł uciekać jak szalony. Niestety! zobaczył wkrótce, że niema dla niego ratunku. O kilka kroków od miejsca jego spoczynku gąszcze się kończyły, a zaczynał się stary, więc o rzadkich drzewach las — a w tym lesie wprost uciekającego Janka stał na swym koniu Romno, inni cyganie, kobiety i dzieci. Chłopiec był ze wszech stron obsaczony, jak dziki zwierz w swem legowisku.

ROZDZIAŁ X.

Janek złapany dowiaduje się od Cyngi co go czeka nazajutrz rano.

Położenie Janka było straszne. W chwili gdy zjawił się na skraju gąszczu leśnego i przerażony zatrzymał się, nie wiedząc jak wydobyć się z tej matni, spostrzegły go zaraz kobiety i dzieci, które uzbrojone w kije, baty, gałęzie, z dzikim okrzykiem pobiegły ku niemu. W tyle za sobą usłyszał trzask łamanych drzewek i widział już brudny, podarty kapelusz cygana, unoszący się ponad gąszczem i zbliżający się ku niemu. Wkrótce ujrzał straszną paszczękę buldoga, rozwartą szeroko, zbroczoną krwią biednego pieska, jak przeświecała pomiędzy gąszczem szeregiem ostrych zębów. Ze wszystkich stron zbliżano się ku niemu, otaczano go coraz węższym kręgiem. Za chwilę będzie otoczony, schwytany, zbity niemiłosiernie.

Jeden tylko Romno stał opodal nieruchomy na swym koniu. W świecących guzikach jego kaftana



Ocal mię panie!

przeglądało się słońce. Sam on z powagą niewzruszoną poglądał na roztaczający się przed nim obraz łowów biednego chłopca.

Janek widząc, że już dla niego niema ratunku, postanowił uciec się pod opiekę cygańskiego króla. Co pomyślał to i zaraz wykonał. Jednym skokiem stanął na ogołoconem z gąszczu miejscu, pchnął silnie zastępującego mu drogę chłopaka cygańskiego, że aż przewrócił się, i dobiegłszy do nieruchomego Romna, chwycił go oburącz za nogi i zawołał:

— Ocal mię panie, nie daj mnie bić!

Romno poważnie spojrzał na wieszającego się u jego nóg chłopca i widząc nadbiegającą z głośnym krzykiem bandę, podniósł do góry niewielki bat, który trzymał w ręku, świsnął nim w powietrzu i głosem donośnym, rozkazującym rzekł coś po cygańsku.

Banda zatrzymała się jak wryta. Wszyscy w odległości kilku kroków otoczyli dokoła króla i Janka i w pokornem milczeniu spoglądali na swego pana. Janek widział tajoną wściekłość w oczach kobiet zwłaszcza, z jaką rzucały na niego wzrokiem. Czuł, że tylko potężna opieka Romna go broni, gdyby nie to, te szkaradne wiedźmy cygańskie rozszarpałyby go na nic. Romno tymczasem mierzył spokojnym, groźnym i pełnym dumy wzrokiem otaczającą go bandę — a na kogo spojrzał, ten

zaraz spuszczał oczy, pochylał głowę jak niewolnik.

I przez chwilę trwało poważne milczenie w całej tej, tak niedawno wrzaskliwej bandzie. Nakoniec Romno podniósł głowę i wskazując palcem na kobiety i dzieci, wyrzekł kilka słów. Natychmiast wiedźmy te i szkaradne bachury cygańskie cofnęły się i powdrapywały się na wozy stojące w odległości jakich dwudziestu kroków na uboczu. Zostali tylko sami mężczyźni i ciągle w czerwoną płachtę odziana Mokryna. Owszem była ona tak śmiała, że zbliżyła się do Romna i wskazując swym chudym i czarnym jak ziemia palcem na Janka, coś poczęła rozprawiać swym krzykliwym, syczącym głosem. Romno słuchał jej z niewzruszoną powagą, a ona ciągle gadała, coraz głośniej, rzucając się dziwacznie, tak że z głowy spadła jej czerwona płachta i ukazała jej włosy siwe, rozczochrane, rzadkie...

Janek patrząc na to, drżał na myśl, że ta kobieta zapewnie żąda, żeby go ukarano, żeby go wybito. I był prawie pewny, że do tego przyjdzie. Widział jak Romno słuchał uważnie i w milczeniu słów Mokryny, jak nikt z otaczających nie śmiał jej przerwać, widoczną zatem rzeczą było, że ta szkaradna cyganicha miała jakieś znaczenie, jakąś powagę w bandzie. Od czasu do czasu rzucał ukradkowo wzrokiem dokoła, czyby mu nie udało się uciec — ale las dalej był rzadki, widny, on

sam był zmęczony i widział przed sobą strasznego buldoga, którego trzymał na obroży cygan i gotów zapewne puścić tego dzikiego psa za uciekającym, w razie nowej próby. Ucieczka więc wprost była niemożliwą i Janek z rozpaczliwą rezygnacyą zdał się na Opatrzność. Ale mimowolnie łzy mu potoczyły się z oczów, zawstydzony tem, otarł je zaraz nie wiedząc, że Romno od niejakiego czasu patrzy na niego. W chwili gdy Janek otarł łzy, król cygański przerwał Mokrynie jej długą rozprawę, wskazał jej ręką wozy z kobietami i dziećmi, i obrócił się do mężczyzn.

Mokryna umilkła, zarzuciła na głowę swą czerwoną płachtę, spojrzała jadowitym wzrokiem na Janka i wolno cofnęła się do wozu, na którym usiadła tak jak poprzednio, z nogami na dół spuszczonemi. Romno tymczasem przemówił coś do cygana, który buldoga trzymał — i sam zawrócił konia i odjechał wolno, zostawiając Janka przed cyganami samego.

Ci zbliżyli się do niego, zdjęli mu płaszczyk, surducik... słowem poczęli go rozbierać. Janek przerażony tem, myśląc że go będą bili, zaczął krzyczeć, z płaczem zwracając się do odjeżdżającego króla cygańskiego.

— Panie Romno, zmiłuj się, nie daj mnie bić.

— Cicho bądź — mruknął jeden z cyganów — nikt cię tu bić nie będzie. Romno nie dał, choćby ci się należało z piętnaście dobrych batogów.

— A pocóż wy mnie rozbieracie? — spytał uspokojony już nieco Janek.

— Bo nam się tak podoba — odrzekł drugi cygan — cóżeś ty lepszego od innych, że masz takie pańskie na sobie suknie! Te suknie pójdą dla naszych cyganiąt, a ciebie ubierzemy w łachmany, żebyś wyglądał jak prawdziwy cygan.

— A dlaczegóż ja mam tak wyglądać? przecież ja nie cygan! — pytał Janek.

— Nie jesteś cygan, to prawda — odrzekli mu na to śmiejąc się — ale nim będziesz.

Zabrali mu jego porządne sukienki, włożyli na niego brudne, podarte łachmany, które Janek ze wstrętem wdział na siebie. Ale trudno, trzeba było na wszystko się zgodzić, zwłaszcza, że bohater nasz czuł się bardzo szczęśliwym, iż uniknął tej surowej kary, jaka spotkała biednego Cyngę.

Skoro już wszystko było załatwione, banda wyruszyła w dalszą drogę. Cynga znowu stanął przy Janku, ale nie spojrzał nawet na niego i milczał jak zaklęty, choć nieraz przydarzyła mu się sposobność pomówienia. Zresztą sam Janek nie chciał narażać dobrego chłopca, do którego czuł żywą sympatyę, na nową okrutną karę. Postępowali więc w poważnem i głębokiem milczeniu przez las, pełen starych drzew, ciągle skręcając na boczne, nieraz trudne do przebycia dla wozów drożyny.

Dla Janka podróż ta była niezmiernie przykrą

i uciążliwą. Cyganie zabrali mu buciki i musiał iść boso, po kamieniach, drobnych kamykach i igłach sosen, co dla nieprzyzwyczajonego chłopca było męczarnią prawdziwą. Ale cóż było na to robić? Wszyscy cyganie oprócz Romna byli boso i Janek także, jako nowy cygan musiał chodzić bez butów.

Szli długo, cały dzień, nie zatrzymując się prawie wcale — rzadko i na krotko tylko wychylając się z lasu. Na czele, na swym koniu, ciągle jechał samotny i milczący Romno. Mokryna zato nie spuszczała ani na chwilę oka z Janka i Cyngi, którzy postępowali przy sobie, nie otworzywszy ust przez cały dzień.

Janek czuł się ogromnie znużonym tą przykrą drogą, boso, śród lasu. Szczęściem nad wieczorem banda zatrzymała się na prześlicznej polance śród lasu, nad strumieniem, który toczył swe przeźroczyste jak szkło wody, po twardym gruncie, pełnym różnokolorowych kamyków. Rozłożono się tam, zapalono ognisko, ugotowano nędzną wieczerzę, poczem cała banda zasnęła — i Janek z nią. Obudziło go silne szarpnięcie. Roztworzył oczy i przy blasku księżyca, który oblewał swem srebrnem światłem całą polankę, ujrzał pochylonego nad sobą Cyngę. Wielkie oczy chłopaka były wlepione w Janka — na pół leżąc, na pół siedząc Cynga, otulony przed chłodem nocy kwietniowej w swe łachmany, zdawał się czegoś pilnie nadsłu-

chiwać, nie spuszczając jednak ani na chwilę wzroku z Janka.

Ten ostatni widząc to, chciał go już zapytać, czemu tak na niego patrzy, ale zaledwie roztworzył usta, gdy Cynga przyłożył palec do swych czerwonych jak karmin warg, na znak milczenia — i dalej nadsłuchiwał uważnie.

Janek zdziwiony niezmiernie tem zachowaniem się młodego cygana, przerażony jego tajemniczością ruchów, począł także oglądać się i słuchać. Ale nic nie ujrzał takiego, coby w nim wzbudzić mogło podejrzenie. Resztki ognia tliły się na środku polany, obrzucając krwawym blaskiem konie drzemiące przy wozach i grupy śpiących mocno cyganów. W lesie panowała też poważna cisza, przerywana szmerem wiatru i hukaniem gdzieś w głębi lasu puszczyka. Jakiś cygan niedaleko obu przyjaciół chrapał głośno i przeciągle.

Nagle Cynga położył się i przypełzał do Janka. Oczy cyganowi świeciły się jak dwa dyamenty, jakimś gorączkowym blaskiem. Przytknął usta do ucha zdziwionego chłopca i począł szeptać:

— Nie rusz się i nic nie mów, najmniejszy szelest może kogo zbudzić... słuchaj mnie uważnie, co ci powiem.

Umilkł na chwilę, poczem mówił:

— Wiesz, co oni myślą z tobą zrobić? Oto idą, żeby cię wydać w ręce Austryaków, którzy im dobrze za to zapłacą. Myślę, że niedaleko musimy

być od Austryaków, bo słyszałem jak Romno mówił wieczorem do Dajgi, tego co mnie wczoraj bił, żeby cię pilnował dobrze, bo jutro zapewne spotkamy się z wodzem austryackim. I cóż ty na to? Jeżeli mi chcesz odpowiedzieć, to przyłóż usta do mego ucha i mów!

Janek zrobił tak jak mu kazał Cynga i rzekł przestraszony okropnie tem, o czem przed chwilą się dowiedział.

— Zmiłuj się Cynga, cóż ja mam robić... chyba znowu uciekać?... ale ten przeklęty buldog...

Zaiskrzyły się oczy Cyngi, pochylił się do ucha Janka i szepnął:

— Tylko uciekać... musisz uciekać, innego ratunku niema. Romno mówił, że Austryacy dadzą za ciebie dużo złota i powieszą cię zaraz. Brrr! — otrząsnął się — brzydka to śmierć na szubienicy. Więc musisz uciekać. Teraz jest dopiero północ, masz przed sobą kilka godzin nocy...

Odetchnął na chwilę, oglądając się dokoła trwożliwie, poczem uspokojony mówił:

— Ja ci powiem... ja cię bardzo kocham — i ja z tobą ucieknę. Nie ruszaj się! — szepnął wstrzymując siłą Janka, który poczciwemu cyganowi chciał się rzucić na szyję — nie ruszaj się, bo nas zdradzisz... Więc i ja z tobą ucieknę, ale pod warunkiem, że mię będziesz ślepo słuchał we wszystkiem. Ty nie znasz cyganów, gdybyś ich znał, nie byłbyś dziś rano tak głupio uciekał... Ale ja

znam, ja wiem jak to robić trzeba — uciekniemy i to zaraz.

— A buldog! — szepnął Janek.

— Buldog! — zasyczał śmiechem Cynga, pokazując białe i ostre swe zęby — buldog już nie żyje. Przed godziną zwabiłem go do siebie, bo to on pilnuje w nocy naszego obozu i dałem mu chleba z trucizną... zdechł w mgnieniu oka. Już on nas gonić nie będzie, nie! O! widzisz go?... on tam leży.

I wskazał ręką na niekształtne, pokurczone ciało psa, który w odległości paru kroków od nich leżał wyciągnięty na ziemi.

Cynga nachylił się znów do ucha Janka i szepnął:

— Psa więc niema już i jego się nie boję. Boję się tylko Mokryny, która sypiać nie może po nocach, i bacznie nadsłuchuje co się dzieje w obozie. Ona tam położyła się pod wozem... nie wiem, czy śpi, czy nie. Wie ona dobrze, że Romno cię chce oddać Austryakom, że za ciebie dostaną dużo złota, więc może ma na ciebie zwrócone oczy. Ale to nic... o! chwała Bogu, księżyc zaszedł za chmurę i zrobiło się ciemno. Posłuchajże co masz robić.

Nachylił się lepiej i szeptał:

— Posuniesz się, jak będzie można najwolniej i najciszej, na czworakach, a lepiej pełzając i zatrzymując się co chwila ku strumieniowi. Przez

strumień, który jest płytki, przejdziesz na drugi brzeg. Tam już jest las i ciemno — trudno cię będzie zobaczyć. Usiądziesz pod drzewem i będziesz czekał na mnie.

— Ja niedługo przybędę. Gdybyś zaś nie mógł się mnie doczekać i gdybyś postrzegł lub usłyszał jaki ruch w obozie, to nie czekaj na mnie, tylko uciekaj. Ale nie uciekaj daleko, bo to na nic się nie zda — wleź lepiej na jakie drzewo, dąb lub sosnę i siedź tam, choćby do popołudnia do jutra nie ruszając się... Jeszcze jedno, gdybyś w ciągu nocy usłyszał głos kukułki gdzie w lesie, to ja będę... Odpowiesz mi — umiesz hukać jak sowa?

— Umiem.

— No, to dobrze. Zrób jak ci mówię i ruszaj w imię Boże!

Położył się na ziemi ostrożnie, obejrzawszy się dokoła i dał znak ręką Jankowi. Ten przeżegnał się i począł pełzać na brzuchu.

ROZDZIAŁ XI.

Wydostanie się z cygańskiego obozu i straszna przeprawa przez rwące wody potoku.

Zostawiliśmy Janka, jak za namową Cyngi zaczął pełzać z pośrodka obozowiska cygańskiego ku potokowi rozdzielającemu polanę od boru. Nowa ta ucieczka nie była bardzo bezpieczna. Chcąc dostać się do potoku, trzeba było przebyć dużą, może dziesięciu kroków przestrzeń, niczem nie osłonioną i oświeconą księżycem.

Szczęściem księżyc, jak to zauważył Cynga, schował się właśnie za chmury i należało z tego korzystać, choć było jeszcze na tyle widno, że łatwo było można rozpoznać wszystkie przedmioty na polanie. Nie była więc bezpieczną ta ucieczka, zwłaszcza dla Janka, który już próbował wydostania się z pod opieki cygańskiej i gdyby mu się teraz nie udało, zapewneby mu tego nie przebaczono obecnie tak łatwo, jak pierwszym razem.

Z biciem więc serca posuwał się na brzuchu

zatrzymując oddech w sobie i starając się jak najmniej robić szelestu, co nie było łatwem, gdyż polana zarzucona była mnóstwem zeschłych liści i gałęzi. W takich warunkach podróż ta była ciężka i mozolna — a nadewszystko straszliwie powolna. Pełzając na brzuchu, nie można było pospieszać i Janek drżał na myśl, że stara Mokryna siedząc ukryta pod wozem i nie śpiąc, bo Cynga mówił, że nie sypia po nocach — lada chwila go spostrzedz może swym bystrym wzrokiem. Co chwila więc zatrzymywał się tak dla uchwycenia powietrza, gdyż wzruszenie dławiło mu oddech, jak i dla obejrzenia się dokoła. Czynił to oczywiście bardzo ostrożnie — i za każdym razem na wielką swą pociechę widział niczem nienaruszony spokój panujący nad uśpionem obozowiskiem.

Tak więc pełzając powoli, Janek dostał się szczęśliwie do potoku. Brzeg był dość wysoki i stromy. Zsunął się ostrożnie z niego i zasłonięty mocno wystającym brzegiem, oraz krzakami łoziny rosnącej nad nim, usiadł chwilę na wilgotnym piasku żeby spocząć nieco. Mozolna ta acz krótka podróż na brzuchu, a nadewszystko silne wzruszenie, zmęczyło go niezmiernie. Usiadł więc i odpoczywał.

Ale nie można było długo odpoczywać — zresztą Janek sam czuł to dobrze, że im dalej będzie od obozu cygańskiego, tem będzie bezpieczniejszy. Pochyliwszy się puścił się w brod przez

potok, ktory był tak płytki, że woda dzielnemu chłopcu dochodziła zaledwie do kolan, ale zato była zimna jak lód. Janek był boso, noc była chłodna, bo kwietniowa, przeprawa ta więc przez bystry strumień nie była zbyt przyjemną. Nogi kostniały Jankowi, tem więcej, że musiał iść wolno, żeby pluskaniem wody nie zwrócić uwagi starej Mokryny, która, jak sądził, nie śpi, a wzrok ma dobry i słuch jeszcze lepszy.

Dostał się nakoniec do drugiego brzegu, który był równie stromy i wysoki jak z tamtej strony. Chcąc wydobyć się na wierzch, Janek chwycił za gałąź łoziny rosnącej tuż nad wodą, ale nieszczęściem gałąź ta, z głośnym trzaskiem, złamała się, i chłopiec jak długi runął w wodę. Plusk rozstępującej się wody potoku rozległ się wśród ciszy nocnej donośnie.

Janek przerażony nadzwyczajnie, zerwał się szybko i przycupnął pod krzakiem siedząc w wodzie i oglądając się trwożliwie dokoła. Jakoż było się czego zatrwożyć. Na odgłos upadku Janka z pod wozu wysunęła się wysoka, chuda postać Mokryny, którą oblał potokiem srebrnego światła księżyc, wydobywający się właśnie z poza chmury. Stara cyganicha wstała i obejrzała się, a księżyc od wysokiej jej postaci rzucał długi, posępny cień.

Janek zatrzymał oddech w piersiach. Choć woda mroziła mu wszystkie członki, siedział jednak nieruchomy, z okiem wlepionem w Mokrynę. Ta po-

stała chwilę nadsłuchując pilnie, potem krokiem wolnym, poważnym ruszyła ku potokowi. Janek przytulił się do krzaka, a choć cień tam był mocny i nie było prawdopodobieństwem, żeby mógł być dostrzeżony, wszelako obawiał się niezmiernie zbliżającej się ku strumieniowi poważnej, wysokiej, podobnej raczej do widma niż do żyjącej istoty, postaci starej cyganki. Szła ona wolno, wyprostowana jak struna, a światło księżyca padając na nią, na fantastyczne udrapowanie wielką czerwoną chustką, tworzyło z niej dziwną, jakąś nieziemską istotę.

— Gdybym ją tak spotkał niespodzianie w nocy — pomyślał sobie Janek — choć wiem, że strachów niema na świecie, wziąłbym ją za ducha.

Tymczasem Mokryna zbliżyła się do potoku, postała chwilę, popatrzała w jego bystro toczące się wody, w których światło księżyca przeglądając się, tworzyło z lekko pofalowanego prądu, oślepiającego blasku brylanty. Janek modlił się w głębi duszy, żeby sobie jak najprędzej poszła cyganka, gdyż coraz mu zimniej było, przemoczony cały drżał jak w febrze, a nogi miał zupełnie skostniałe. I znowu mu przyszło na myśl ciepłe wygodne łóżeczko we dworze Łęgonickim i żal mu się zrobiło tak nieoględnie rzuconego spokoju, ciszy i bezpieczeństwa. Ale energiczna jego dusza szybko odzyskała swe męstwo i odwagę.

— Com zrobił — mówił sobie — dobrzem zrobił, powinienem był tak zrobić.

Nareszcie cyganka odeszła. Posunęła się jeszcze parę kroków wzdłuż potoku, poczem wróciła się i ruszyła ku obozowi. Janek, widząc ją odchodzącą, właśnie w kierunku tego miejsca gdzie on spał z Cyngą, pomyślał sobie, że będzie zaraz dostrzeżoną jego ucieczka, a plusk wody, który słyszała Mokryna, wskaże niejako drogę jego ucieczki. W tak przykrem położeniu natężając całą swą duszę nad wynalezieniem środka ratunku, śledząc okiem powolne ruchy starej cyganki, natrafił nakoniec na sposób wyjścia z tego niebezpieczeństwa.

— No! — szepnął podnosząc się z trudnością — teraz nie dam się tak łatwo złapać.

Jednym śmiałym i zręcznym krokiem stanął na brzegu. Tutaj było prawie zupełnie ciemno. Wielkie dęby i olchy, gdyż był to las liściasty, nie przepuszczały promieni księżycowych, z czego, rzecz prosta, Janek był bardzo zadowolony.

Stanąwszy na brzegu, obejrzał się jeszcze raz za Mokryną, której postać wyraziście się rysowała na jasno przez księżyc oświeconej polanie. Szła wciąż w głąb obozu, widocznie więc odgłos skoku Janka na brzeg nie dobiegł jej uszów. Nie czekając więc aż stara cyganka dojdzie do środka obozu, puścił się szybkim krokiem wzdłuż brzegu potoku. Biegł żwawo, najprzód dlatego, żeby się jaknajdalej odsunąć od miejsca swej przeprawy, a potem,

żeby się nieco rozgrzać. Był zziębnięty tak mocno, że zęby mu szczękały jak w febrze.

Przebiegłszy około pięćdziesięciu kroków, wciąż nad brzegiem potoku, zatrzymał się naprzeciw tego miejsca, gdzie z drugiej strony kończyła się polana i poczynał się równie ciemny i gęsty las, jak i na tym brzegu. Stąd, ukryty w cieniu, czując się do pewnego stopnia bezpiecznym, począł przyglądać się obozowisku cygańskiemu, które przy blasku księżyca, w oddali, w niepewnych i zamglonych rysowało się kształtach.

Bezpieczeństwo swoje Janek na tem opierał, że jeżeli Mokryna spostrzeże jego nieobecność w obozie, zbudzi naturalnie cyganów, którzy poczną go szukać. Wówczas stara cyganicha przedewszystkiem przypomni sobie tajemniczy plusk wody i wpadnie na bardzo prostą myśl, że Janek uciekł na drugi brzeg potoku. Tam też skieruje się pogoń — a ścigany tymczasem przedostanie się przez wodę znowu na pierwszy brzeg i ukryje się w lesie, tuż przy polanie, bezpieczny, bo psa już niema, któryby go mógł wytropić, a cyganom zapewne na myśl nawet nie przyjdzie szukać zbiegłego na tej stronie strumienia, na której stoją obozem.

Taki mając plan, Janek usiadł sobie pod rozłożystym dębem i otulając się w zmoczone łachmany, usiłował się rozgrzać, nie spuszczając ani na chwilę oka z obozu cygańskiego. Nie przecho-

dził zaś zaraz na przeciwny brzeg, z racyi następującej:

Najprzód nie było jeszcze żadnej pewności, czy Mokryna spostrzeże jego nieobecność, w takim razie przeprawienie się na drugą stronę potoku narażało Janka niepotrzebnie na nowe zimno, oraz oddalało go od Cyngi, który zapewne nie omieszka wkrótce drapnąć z obozu. Słusznie więc i rozumnie Janek zrobił, że czekał na rezultat cichego przeglądu Mokryny.

Przez jakiś czas panowała w obozie taka sama jak dotąd cisza i spokój — i Janek już myślał, że Mokryna poszła położyć się na swe legowisko pod wozem, nie obejrzawszy wprzódy obozu. Omylił się jednak. Albowiem kiedy już winszował sobie szczęśliwej ucieczki i nadsłuchiwał czy nie rozlegnie się umówiony między nim a Cyngą głos kukułki, nagle zamiast tego głosu dobiegł jego uszów z obozu donośny krzyk Mokryny. Poznał jej głos chrapliwy i zerwał się na równe nogi, wytężając wzrok czy czego nie dostrzeże.

Jakoż dostrzegł najprzód, że ognisko dotąd ledwie tlejące śród obozowiska, podsycone widocznie suchemi gałęźmi, buchnęło wielkim płomieniem i obrzuciło krwawym blaskiem ponure i ciemne drzewa lasu. Koło ogniska widział wyraźnie kręcące się, czarne sylwetki cyganów, kobiet i dzieci, gorączkowo biegające tu i tam, usłyszał gwar, tętent koni, krzyki, ponad którymi rozlegał się do-

nośny, rozkazujący głos Romna. Potem ujrzał jak kilka kobiet chwyciło zapalone łuczywa i otoczone cyganami na koniach, pod przewodnictwem starej Mokryny ruszyły w kierunku potoku. Wkrótce jego wody zaczerwieniły się purpurą ognia, cały ten tłum stanął nad brzegiem i pochylony zdawał się czegoś szukać na ziemi. Janek widział wyraźnie wychudłą, wysoką postać Mokryny, która mówila coś i wskazywała ręką na miejsce, w którem Janek wpadł wodę. Zaraz potem kilka kobiet z pochodniami przeszło w bród potok, a za niemi kilku cyganów na koniach. Zatrzymali się na przeciwnym brzegu i znowu upatrywali śladów. Janek widział jak pochyliwszy krwawo gorejące łuczywa, kobiety starannie opatrywały ziemię, podobne wśród ciemności nocnych, krwawo oświecone, do jakichś duchów z pól Elizejskich, o których czytał w mitologii greckiej.

— Nie mam tu czego siedzieć — zmykajmy! — szepnął i wszedł do wody.

Ale tu czekało go nowe niebezpieczeństwo. Zrazu była woda dość płytka, ale dalej ku środkowi uczuł, że mu gruntu ubywa pod nogami. Przytem łuczywa rozbiegających się kobiet poczęły rzucać na wodę daleki czerwony odblask i Janek słusznie się obawiał, żeby go nie spostrzegły bystre oczy cyganów. Chcąc tego uniknąć i zarazem szybko przedostać się na drugą stronę, gdyż zimno mroziło mu członki, posunął się naprzód nieostro-

żnie i wpadł widocznie w jakiś dół, gdyż woda go całkiem pokryła. Na chwilę, ten nowy, niespodziewany wypadek przeraził go tak, że zupełnie stracił przytomność. Przymknął oczy i zdawało mu się, że leci w jakąś bezdenną, bezgraniczną przepaść... Ale wkrótce odzyskał energią. Westchnął w mrocznej głębi potoku do Boga i przypomniawszy sobie, że umie pływać, rzucił się naprzód i wkrótce wydostał się na wierzch wody. Tutaj jednakże czy prąd był za silny, czy też skostniałe od zimna ręce i nogi, nie mogły z siłą działać, woda poczęła go gwałtownie unosić, szczęściem, że w stronę przeciwną tej, w której byli cyganie. Naprożno chciał opierać się, gdyż czuł, że długo nie zdoła się utrzymać na powierzchni wody; wciąż unoszony pędził szybko z prądem. Zimno przenikało go do kości, nasiąkłe wodą odzienie zaczęło mu straszliwie ciężyć, coraz słabiej się opierał i myślał już o śmierci.

Zmówił w duszy cichą modlitwę, westchnął do matki, która tam zapewne z wyżyn niebieskich patrzy na straszną śmierć swego dziecięcia i już ostatkiem sił utrzymywał się na wodzie, gdy nagle nogi jego uderzyły o ziemię. Z niezmierną, niewypowiedzianą radością postrzegł pod swemi stopami biały piasek, prowadzący aż do samego brzegu.

Tu wśród wody, ukląkł na piasku i w cichych serdecznych słowach podziękował Bogu za wyra-

towanie go od śmierci. Modlitwa ta natchnęła go nową odwagą i energią. Zwawo podniósł się i w paru krokach stanął na brzegu, gęsto zarośniętym krzakami i młodemi drzewami.

Usiadł zmęczony, zziębnięty straszliwie, pod krzakiem i spojrzał na cyganów, których płomieniste łuczywa wciąż kręciły się ponad potokiem. Zauważył jednak, że teraz już były tam tylko same kobiety i dzieci, konnych cyganów nie było.

— Pobiegli zapewne szukać mię po lesie — szepnął i uśmiechnął się na myśl próżności tych poszukiwań.

Wkrótce potem usłyszał tętent konia i wśród ciemności dostrzegł na przeciwnym brzegu szybko przebiegającego cygana. Gdy ten zniknął, Janek wstał i zapuścił się w głąb lasu. Ale zaledwie parę kroków się posunął, gdy niedaleko odeń rozległ się wyraźnie głos kukułki.

ROZDZIAŁ XII.

Ucieczka Janka i Cyngi na królewskim koniu Romna.

Cynga jak wiadomo umówił się z Jankiem, iż da mu znać o swej obecności w lesie głosem kukułki, na co ten ostatni winien huknąć jak puhacz. Usłyszawszy tedy Janek umówiony znak i do tego z tej strony potoku, ucieszył się niezmiernie, gdyż przekonywało to, że Cynga zdołał szczęśliwie uciec. Zaraz więc w odzew huknął niby puszczyk i żywo puścił się w kierunku, z którego dobiegał głos kukułki. Ale napróżno szukał, choć Cynga ciągle kukał i nawet gdzieś bardzo blizko Janka, tak że ten ostatni począł wkońcu sądzić, że to istotna kukułka a nie Cynga się odzywa. Z tem wszystkiem nie tracąc nadziei, hukał ze swej strony, gdy nagle z drzewa spuścił się Cynga i stanął przed Jankiem, wyszczerzając z widocznym wyrazem radości, szereg swych białych, jak kość słoniowa, zębow.

— Ach, to ty Cyngo! — zawołał Janek ucieszony — myślałem, że cię już nie znajdę.

— Słyszałem ja ciebie paniczu oddawna, ale wprzódy chciałem się przekonać, czy to ty jesteś rzeczywiście, dlatego tak długo nie złaziłem z drzewa — odrzekł Cynga ściskając mocno podaną mu rękę.

— Jakżeś się wydostał z obozu?

— O tem potem, teraz nie mamy czasu na próżne gadania. Uciekajmy! Jak cyganie zobaczą, że ciebie niema na tamtej stronie potoku, poczną na tej szukać, co niedługo nastąpi, gdyż jeno patrzeć będzie światło. No, chodźmy.

I wziąwszy Janka za rękę, chciał już iść, gdy nagle spostrzegł, że ten drży mocno.

— Co to, zimno ci?

— O! i bardzo.

— Prawda, dwa razy przełaziłeś przez wodę i upadłeś widzę. Ano, mógłbyś zachorować, boś ty delikatny, nie cygan. Musisz wdziać inne suknie.

— Skądże ich wezmę? — spytał Janek.

— Ja ci je dam paniczu! — odrzekł na to cygan — i żwawo ruszył naprzód, prowadząc Janka za sobą.

— I nawet powiem ci — mówił dalej — że to dobrze będzie jak się przebierzesz. Te łachy wrzucimy do wody — będą myśleli cyganie żeś się utopił. Ha! ha! ha! zaśmiał się cicho — mają

oni rozum, mam i ja także, nie darmo jestem synem Czandali.

Westchnął lekko, jakby imię to budziło w nim smutne wspomnienia — i zamilkł. Szli tak przez jakiś czas pośród wielkiej gęstwiny leśnej, poczem zatrzymali się. Cynga dał znak ręką Jankowi żeby stanął, a sam rzucił się na ziemię, przyłożył do niej ucho i słuchał tak krótką chwilę, poczem wstał i szepnął wyszczerzając zęby.

— Wszystko dobrze idzie. Zaczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

I nie czekając na odpowiedź Janka, wślizgnął się cicho, jak wąż, pomiędzy najgęstsze krzaki i po chwili zjawił się z przeciwnej strony, prowadząc za uzdeczkę konia samego króla cygańskiego, osiodłanego i objuczonego dwoma workami.

— Cynga, skąd ty masz konia? — spytał zdziwiony Janek.

— Skąd? skąd? — mruknął cygan — przecież piechotą uciekać nie będę, bobym niedaleko uszedł i łatwoby mnie znaleźli. Dalej, rozbieraj się paniczu — niewiele mamy czasu.

To mówiąc spojrzał na wschód, widzialny nieco z poza drzew leśnych, który poczynał się już lekko rumienić — poczem zdjął z konia worek, wyjął z niego dwa ubrania, jedno dawniejsze Janka, drugie nowe i podczas gdy Janek się przebierał, on także wdziewał na siebie bardzo przyzwoity

granatowy surdut, wielkie buty palone i spodnie łosiowe.

— Nie możemy w cygańskim stroju jechać, boby nas wójt w pierwszej lepszej wsi zatrzymał i do kozy wsadził, dlatego wystarałem się o ten ubiór. Teraz czasy wojenne, trzeba o wszystkiem pamiętać.

I uśmiechał się, wyszczerzając zęby. Janek tymczasem zrzucił z siebie szkaradne łachmany, które go wstrętem przejmowały, nasiąknięte wodą, a przebrał się w swe dawne sukienki, otulił płaszczykiem i zaraz mu się cieplej zrobiło. Cynga także się ubrał i kiedy jeszcze wdział nową, elegancką czapkę na głowę, kiedy przyczesał grzebykiem (bo i ten znalazł się w torbie) włosy, wyglądał nie na cygana, ale na bardzo przyzwoitego szlachcica. Skończywszy się stroić, zebrał swe dawne, dość jeszcze całe ubranie i schował do worka, mówiąc:

— Szkoda tego niszczyć, sprzedamy gdzie i dostaniemy parę złotych, a przytem zostawiać tu nie można, bo byłby ślad. No, teraz dawaj twoje łachy!

Wziął łachmany rzucone przez Janka na ziemię, wyszukał duży kamień i przywiązał go do nich, a skończywszy tę robotę, rzekł do Janka:

— Zostań tu i trzymaj konia, ja jak tylko ułatwię się z utopieniem ciebie — uśmiechnął się — zaraz powrócę.

I znowu znikł w gąszczu leśnym ze zwinnością i zręcznością, która podziw budziła w Janku. Pomimo mnóstwa liści i gałęzi suchych, jakiemi zarzucona była ziemia, kroki cygana nie zdradzały się najmniejszym szelestem. Ślizgał się jak wąż.

Dość długo nie było go widać i Janek począł się już lękać, czy mu się nie przytrafiło jakie nieszczęście, zwłaszcza że okrzyki kobiet i dzieci cygańskich z tamtej strony potoku wśród ciszy nocnej dochodziły go wyraźnie, a krwawy blask palonego przez nich łuczywa odbijał się na szczytach sosen. Niepokoił się więc i niecierpliwił z tak blizkiego sąsiedztwa swoich nieprzyjaciół, gdy nareszcie Cynga się pokazał. Był uśmiechnięty, uradowany.

— Doskonale mi się udało — rzuciłem twoje łachmany do wody, która tam jest bardzo głęboka. Czyś ty tamtędy przechodził? — spytał.

— Tamtędy i o mało się nie utopiłem.

— Nieuważny jesteś paniczu, o parę kroków dalej jest piasek i płytko — ledwiebyś nogi zamoczył. Twoje łachmany unoszą się nad głębią, będą myśleli rano, żeś się utopił. No, w drogę! — zawołał — mamy przed sobą z godzinę dobrą czasu. Oni cię teraz nie szukają, przypuszczają bowiem że siedzisz na drzewie — bobrują tylko po lesie, żebyś czasami nie zeszedł i czekają dnia pewni, że cię złapią jak lisa. Ha! ha! ha! — zaśmiał



Trzymaj się panicz dobrze!

się — oto jest rozum na rozum. Dobrześ zrobił, żeś przeszedł na tę stronę, inaczej miałbym dużo z tobą kłopotu, żeby cię stamtąd sprowadzić. Sprytny jesteś paniczu. No, siadajmy na konia!

Usiadł pierwszy, Jankowi kazał się za sobą pomieścić i trzymać dobrze, gdyż niedługo, jak tylko wydostaną się z lasu, ruszą galopem.

— A nie mów nic — zalecał Jankowi — bobyśmy się mogli zdradzić. Mają oni dobry słuch i słyszą jak trawa rośnie! — dodał, wskazując głową w stronę cyganów, a oczy mu się zaiskrzyły jak u kota, z widocznym wyrazem tajonej nienawiści.

Ruszyli stępa i bardzo ostrożnie przemykając się między gęstymi krzakami. Poprzednio jeszcze Cynga owiązał łachmanami z ubrania Janka kopyta koniowi, tak że stąpając nie wydawały one najmniejszego odgłosu. Koń był przytem widocznie wyuczony do skradania się w lesie, gdyż posuwał się bardzo ostrożnie i zręcznie wymijał gałęzie, których szelest mógł zdradzić jego pochód. Jechali w głębokiem milczeniu, a co jakiś czas Cynga zatrzymywał konia, zeskakiwał i przykładał ucho do ziemi. Po każdem takiem przysłuchaniu się, szeptał drapiąc się na konia:

— Wszystko dobrze, jeszcze są na tamtej stronie — niczego się nie domyślają.

Nakoniec wydostali się z lasu na jakąś drożynę przerzynającą obszerne pola, zazielenione

wschodzącemi oziminami i oświecone jasnym blaskiem księżyca. Cynga obrócił się do Janka i rzekł:

— Trzymaj się paniczu dobrze — i puścił konia wyciągniętym galopem.

Koń był dobry i rwał jak wicher. Drożyna była piasczysta, a przytem dzięki przezorności Cyngi, z jaką zużytkował łachmany Janka, tętent biegnącego konia był bardzo słaby, choć Cynga i na to narzekał.

— A też dudni — mówił — jakby nikogo nie było za nami. Ha! cóż robić — teraz tylko w szybkości nóg końskich nadzieja, bo ten tętent wcześniej czy później nas zdradzi.

Pędzili więc co koń wyskoczy. Tak przebiegli drożynę, dostali się na szeroki gościniec, a gdy na końcu jego Cynga dostrzegł czerniącą się wieś, zawrócił w bok na pierwszą lepszą drogę i jechał dalej.

— Nie trzeba — mówił — żeby nas kto teraz widział. Zawsze byłby to ślad, a ja nie chcę, żeby oni mieli ślady. Z dwoma jeźdźcami na grzbiecie koń nie może zbyt długo i zbyt szybko biegnąć, trzeba więc ratować się w inny sposób.

Pędzili też ciągle — ale wkońcu koń zlany potem, już widocznie resztkami sił gonił. Szczęściem poczynał się las, a i dzień się też zrobił.

Słońce wspaniałe, purpurowe i złote, wypłynęło majestatycznie na mroczny jeszcze, szary sklep niebieski. W powietrzu czuć było świeżość i chłód poranku wiosennego. Na listkach traw i wierzb rosnących koło drogi, zwieszały się krople rosy jak perły uryańskie, w których słońce przeglądając się, tworzyło przecudowną, tęczową grę kolorów.

W lesie Cynga zjechał z drogi i powstrzymał nieco konia, który bokami robił. Posuwali się teraz lekkim kłusem.

— Nie dadzą się oni długo zwodzić — począł mówić Cynga — jak tylko w lesie na drzewie cię nie zobaczą, a już to zapewne się stało, bo dzień jest jasny, poczną cię gdzieindziej szukać. Znam ja ich dobrze, lepszy oni mają węch od psa. A przytem... wcześniej czy później spostrzegą, że i mnie niema i domyślą się, żem z tobą paniczu uciekł i żem ja buldoga otruł.

— O! żebyś ty wiedział, jak oni klęli, gdy zobaczyli tego przeklętego psa nieżywego. Stara Mokryna aż ochrypła do reszty od płaczu. Ona to pierwsza cię wyśledziła. Plusk wody zwrócił jej uwagę, a gdy cię nie znalazła na miejscu, dopiero w krzyk. Wszyscy zerwali się i polecieli, według wskazówek tej starej wiedźmy, szukać cię. Przyznam ci się szczerze paniczu Janku, że mię strach wielki wziął o twoją skórę, jak zobaczyłem, że wszyscy lecą nad potok.

Uśmiechnął się i dalej mówił:

— Ale cóż, myślę sobie, ja mu teraz nic nie pomogę. Jeśli ma głowę na karku, to powinien przejść na drugą stronę strumienia napowrót i ukryć się w lesie na skraju polany. W tej myśli postanowiłem skorzystać z zamięszania i nieobecności prawie wszystkich w obozie, i uciekać. Bo gdybym został, czyby cię złapali czy nie, zawszeby to skrupiło się na mnie. Romno mię niecierpi i Mokryna także... zakatowaliby mnie jak psa...

Gdy to mówił, oczy mu błyszczały jak ogień, a głos stał się dziki i ponury.

— Za cóż oni cię tak niecierpią, mój Cyngo — spytał Janek.

— Ej! — machnął ręką — dużoby to o tem gadać! Ale ja ci to opowiem paniczu, jeno nie teraz... później, jak będziemy w bezpiecznem miejscu, opowiem ci moją historyę.

— A czy prędko będziemy w tem bezpiecznem miejscu?

— Hm! czy ja wiem? Oni się tym łachmanem na wodzie na długo zwieść nie dadzą. Wywloką go, zobaczą kamień i domyślą się wszystkiego. Potem spostrzegą, że niema mnie, niema worków z ubraniem i żywnością, niema konia Romny...

Zatrzymał się na chwilę, poprawił na siodle i tak dalej mówił:

— Zabrałem to wszystko, wymykając się z obozu, do lasu. Konia ukryłem i zawsze przypuszczając, że ty paniczu Janku, będziesz miał na tyle rozumu, że przejdziesz na tę stronę potoku, wlazłem na drzewo i zakukałem. Możesz sobie wyobrazić, jakem się ucieszył, gdym usłyszał głos puszczyka... No, niema co mówić, szczęśliwie nam się powiodło, byle tak dalej poszło. Dopóty nie będę spokojny, dopóki nie oddalę się od bandy o jakie dziesięć mil, co nie byłoby zbyt trudnem, gdyby tylko Romno nie kazał nas ścigać. Jeżeli znajdą nasze ślady, będzie bieda i trzeba będzie dobrze nałamać głowy, żeby im się wymknąć. Ale teraz niema rady, trzeba nieco spocząć, szkapa jest ogromnie zmordowana.

Znajdowali się w lesie. Cynga zagłębił się więcej w bór, wyszukał zaciszną dąbrowę, rozkiełznał, rozkulbaczył konia i puścił go na trawę, sam zaś z Jankiem począł posilać się chlebem i słoniną węgierską, której spory kawał miał w worku.

Gdy się najedli i odpoczęli nieco, rzeknie Janek do swego towarzysza:

— Opowiedz mi teraz Cyngo twoją historyę.

Cynga pomyślał, spojrzał na słońce i wkońcu rzekł:

— Dobrze, mamy przed sobą z godzinę czasu

opowiem ci paniczu Janku moją smutną, bardzo smutną historyę.

Położył się na trawie, ogniste swe oczy wlepił w czysty lazur niebios i tak zaczął opowiadać.

ROZDZIAŁ XIII.

Historya młodego Cyngi.

— Oj! sokole, sokoliku, paniczu Janku — mówił Cynga — smutna jest historya mego życia, smutna jak niedola, jak noc czarna.

— Miałem ci ja matkę, matuleńkę, Czandala się zwała. Dziś ją jeszcze pamiętam, choć temu tyle lat już jak nie żyje. Była ona smukła jak topola, młoda jeszcze, z gładkiem licem, a oczami jak dwa rozżarzone węgle. Oj! kochałem ja ją, kochałem! I jak kochać nie miałem, kiedy byłem u niej jedynakiem, a piesciła mię, a strzegła jak źrenicy w oku.

Dla mnie były zawsze suknie najpiękniejsze, krasne, wyszywane srebrem, ze złocistymi guziczkami, dla mnie najlepsze miejsce na wozie, najmiększe posłanie w namiocie, najsmaczniejszy kąsek z kotła. Rosłem jak kwiat polny, tulony trawą, całowany słońcem, myty rosą, kołysany wichrem. Matka nieraz o zmroku, w obozowisku, prawiła

mi całemi godzinami o moim ojcu, który był królem bandy i którego urząd miejski powiesił gdzieś tam na Litwie, za górami, za lasami, za błękitnemi rzekami.

Oj, mówiła mi, jak ojciec szedł mężnie na szubienicę, jak nie zniżył się do prośby, owszem mówił swym katom:

— Ja na śmierć idę, jak na weselisko!

— Opowiadała mi to matka, gdyż ja nie pamiętałem wcale ojca, będąc podczas jego śmierci maleńkiem dzieckiem przy piersi. Ale wiedziałem, że był mężnym — i ja też takim jestem.

Tu Cynga umilkł na chwilę i zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie, poczem ciągnął dalej:

— Jakem ci już powiedział, paniczu Janku, mój ojciec był królem bandy, w której najstarszą kobietą była stara Mokryna i Romno. Ten ostatni oddawna pragnął zostać królem, mówił, że ojciec mój nie dba o bandę, że ją włóczy po okolicy, w której kraść niema co, że zatem banda nieraz głodem przymiera. Mówił to wszystko cichaczem, podburzał resztę cyganów, w czem dopomagała mu ta stara wiedźma Mokryna. Banda chociaż kochała i bała się ojca, przecież powoli zaczęła wierzyć temu co mówi Romno, zaczęła podejrzywać ojca i mniej mu ufać. Spostrzegł to ojciec i baczną zwrócił uwagę na Romna.

Razu jednego, opowiadała mi to matka, bo

mnie jeszcze nie było na świecie — razu jednego stanęła banda obozem w głębi wielkiej puszczy litewskiej, która się nazywa Białowiezką. Pamiętam tę nazwę doskonale. Jest to taka puszcza, że można w niej przez tydzień błądzić, a świata Bożego nie zobaczysz. Zwierz jeno tam mieszka i olbrzymie dzikie woły, zwane żubrami, których nigdzie już podobno niema. Tak mi to mówiła matka... Znał tam ojciec jedną polanę, w samym środku puszczy, dokoła otoczoną nieprzebytemi bagnami, przez którą pieszo, a cóż dopiero z wozami i ludźmi przejść niepodobna było. Ojciec przecież wiedział, że jest tam jedna wąska ścieżynka, trudna do odszukania, którą można dostac się do polany i siedzieć tam bezpiecznie i spokojnie, choćby lata całe.

Otóż na tę to polanę ojciec poprowadził bandę, chcąc odpocząć nieco w pokoju, bo szedł aż z Ukrainy, gdzie za jakąś sprawę, której nie znam, ścigał bandę uparcie pułkownik Robakow. Na polanie tej, w środku szumiącej puszczy Białowiezkiej, można było sobie odpocząć spokojnie i bezpiecznie.

Przyszła tam banda nad wieczorem i rozłożyła się wygodnie. Pożną już nocą ojciec mój wstał, żeby zobaczyć, czy wojska Robakowa nie kręcą się po lesie koło polany, gdy nagle spotrzegł, że w ostatnim z namiotów bandy siedzi przy ognisku kilku cyganów i coś radzą. Między nimi zobaczył

Romna, który mówił coś, wywijał rękami i wskazywał na namiot króla. Stara Mokryna była przy nim i także z zapałem rozprawiała.

Wydało się to ojcu podejrzanem. Ta tajemnicza rada, wśród nocy, zwłaszcza pod przewodnictwem Romna i Mokryny, wyglądała na bunt, na spisek, a nie na zwykłą pogawędkę. Ojciec więc niewiele myśląc zakradł się pod namiot zręcznie i począł słuchać. Romno mówił:

— Tak, trzeba go związać z jego żoną zaraz teraz i wydać w ręce Robakowa. Inaczej zaprowadzi on całą bandę na stracenie.

— Jeno patrzeć — dodawała Mokryna — jak przyjdzie wojsko Robakowa i otoczy polanę, a choć do nas nie dostanie się, to jednak trzymając w ścisłem oblężeniu, zmusi po kilku dniach do poddania się. Żywności i na trzy dni nam nie starczy. Mamy wszystkiego trzech baranów i jedną kozę — sucharów i mąki ledwo na jutro będzie, a wódki wcale niema. Co on za król, co za wódz, żeby nie pomyśleć o tem? I cóż będzie jak się poddamy na łaskę i niełaskę? powywieszają nas jak psów na sosnach puszczy. Miłe jest każdemu życie, nie lepiejże ratować się póki czas? Związać tego łotra i wydać Robakowowi, a potem obierzemy sobie nowego króla. Nie zabraknie w naszej bandzie dzielnych głów i rąk. Dwudziestu przecież jest mężczyzn!

— Mokryna dobrze mówi! — począł znów

Romno. — Możnaby wprawdzie w ten sposób zrobić, żeby wysłać kogo do Robakowa i ścieżynką, którą dobrze zapamiętałem, sprowadzić go tu do obozu, niechby sam z królem się załatwił. Ale co za pewność, że Robakow będąc panem obozu nie weźmie się zarazem do nas wszystkich? Nie! lepiej jest układać się z nim, stawiać warunki i mówić: wydamy ci naszego króla, ale nas nie tykaj!

— Tak! tak! — potwierdzali wszyscy — to daleko lepiej!

— A więc! — zawołał Romno powstając — waleczni mężowie za mną do namiotu króla!

— Naprzód! naprzód! — zachęcała Mokryna.

W tejże chwili mój ojciec stanął przed nimi jak gdyby z ziemi wyrósł. Oczy świeciły mu się ponurym blaskiem, twarz miał śmiertelnie bladą, czoło groźnie zmarszczone, a wargi drżały mu od straszliwego gniewu. Jedną rękę trzymał na rękojeści sztyletu, który mu tkwił za złocistym pasem, a drugą wyciągnął w kierunku osłupiałego Romna. Wszyscy skamienieli i stali nieruchomi z oczami wlepionemi w mego ojca a swego króla. Wtedy ojciec powiódłszy swym strasznym wzrokiem po całem zgromadzeniu, zawołał groźnie wskazując palcem na Romna i Mokrynę:

— Związać ich!

— Wszyscy mężczyźni, a było ich tam dziewiętnastu, na rozkaz ojca rzucili się natychmiast

na Romna i Mokrynę i związali im ręce i nogi. Wówczas ojciec krzyknął:

— Obnażyć ich i przykrępować do drzewa!

Spełniono ten rozkaz natychmiast. Romno w ponurem milczeniu, ze strasznie ściśniętemi zębami, z wzrokiem dzikim, okropnym, dał ze sobą wszystko robić — ale Mokryna poczęła błagać ojca, by jej przebaczył.

— Zmiłuj się królu — wołała — daruj mi winę! Jak pies będę ci wierną, proch z ziemi przed tobą ścierać będę, jeno mi przebacz!

— Niema przebaczenia dla zdrajców — odrzekł ojciec.

Wówczas Mokryna wykrzyknęła to straszne przekleństwo:

— Oby twoje dziecko tak mnie kiedyś błagało i obym mu tą samą wypłaciła monetą!

Niestety! miało się to niedługo sprawdzić. Och! czemuż mój ojciec wtedy nie przebaczył tej szkaradnej, tej mściwej kobiecie — wieleżby cierpień przez to był usunął z drogi swego syna!

Kiedy już oboje winnych obnażonych przywiązano do dwóch drzew, ojciec kazał zbudzić cały obóz, rozpalić wielkie ognisko, żeby było widno, naciąć grubych prętów i smagać Romna i Mokrynę.

Bito ich bez litości. Dwóch silnych mężczyzn stanęło koło każdej ofiary i smagało niemiłosiernie w obliczu całego obozu. Mokryna zlana krwią, jęcząc nieludzkim głosem, nie wytrzymała długo

tej męki i zemdlała. Wówczas ojciec kazał ją odwiązać, zlać zimną wodą i oddać pod opiekę kobiet. Romno zaś zaciął się i nie wydał najmniejszego głosu. Bito go tak długo, że ciało poczęło odpadać od kości... i zapewne ojciec kazałby go na śmierć zasmagać, gdyby nie moja dobra, poczciwa matka, która wyprosiła wkońcu przyszłego kata jej własnego syna.

Romno się leczył, ale poprzysiągł zemstę ojcu. Od chwili tej strasznej egzekucyi w obozie, wśród puszczy Białowiezkiej było cicho i posłuch był wielki. Wszyscy drżeli przed ojcem — choć polana otoczoną była przez wojsko i choć do obozu głód zajrzał. Zywiono się czem było można — łowiono ptaki, wiewiórki, zające czasem, gdyż polana była dość duża i miejscami gęstym porosła lasem. Tam to, wśród szmeru odwiecznych sosen litewskich przyszedłem na świat.

Wreszcie wojsko odeszło, widząc że nic nie zrobi i obóz się ruszył. Ojciec począł wtedy szybko przenosić się z miejsca na miejsce, ściągał do siebie inne bandy cygańskie, sprowadzał skądś broń, proch, kule, tak że w końcu liczył podobno dwustu dobrze uzbrojonych mężczyzn. Kiedy nakoniec wybuchła wojna, na którą się już dawno zanosiło, wojna Rosyan z Polakami, którymi dowodził Naczelnik wielki Kościuszko, ojciec mój osadził wszystkie kobiety na owej polanie w puszczy Białowiezkiej, a sam bardzo często robił stamtąd

wycieczki z mężczyznami na Rosyan i bił się podobno jak lew... Podczas jego nieobecności królową na polanie była moja matka.

Razu jednego, banda wracając z jakiejś bitwy, przywiozła ze sobą na wozie rannego Romna. Wniesiono go do namiotu, opatrzono. Leczył się długo i oczywiście przez ten czas nie brał udziału w częstych wyprawach ojca, jeno podczas jego nieobecności szeptał ciągle z Mokryną, która chorego doglądała. Co oni tam szeptali, niewiadomo, matka jako kobieta nie zważała na to, zresztą nie miała żadnych podejrzeń. W obozie było wszystko spokojnie, subordynacya wielka — nie miała więc matka powodu i przyczyny do podejrzeń.

Tymczasem w ciszy niecna zdrada się kryła. Romno, któremu rana w nodze wygoiła się już nieco, wykradł się podczas nieobecności ojca z obozu i sprowadził wojsko. Przeszło ono niepostrzeżenie, wśród nocy, przez ścieżkę pod przewodnictwem Romna, zajęło obóz, powiązało śpiące kobiety...

Potem niezmieniając zewnętrznego widoku obozu, ukryto wśród krzaków i drzew żołnierzy tak zręcznie, że kiedy ojciec powracając ze zwycięskiej wyprawy z dwoma zdobytemi na nieprzyjacielu armatami wszedł niczego się nie domyślając, w środek obozu, został obskoczony, banda rozbrojona bez żadnego prawie oporu, a ojciec schwytany.

W parę dni potem powieszono go w najbliższem miasteczku, jakem ci to już mówił...

Odtąd zmieniło się całkiem nasze życie. Matka była zawsze królową, ale jej banda składała się zaledwie z sześciu kobiet, z gromady dzieci i dwóch starych, niedołężnych cyganów. Włóczyliśmy się po całej Litwie, a choć była nieraz bieda, choć zimno dokuczało, przecież chwile te uważam za najszczęśliwsze w mem życiu. Byłem swobodny, kochany i pieszczony przez matkę. Choćby cały obóz od dwóch dni nie miał co do ust włożyć, ja zawsze miałem kawałek kiełbasy, białego chleba lub placka... Biedna, dobra moja matka!

Trwało to życie lat kilka — o Romnie i Mokrynie nic nie słyszeliśmy. Przepadli jak kamień w wodę. Widziałem tylko, że wielekroć matka o nich mówiła, to oczy jej błyszczały strasznym gniewem i purpurowy rumieniec twarz pokrywał. Mawiała wówczas zawsze:

— Jeżeli się kiedy spotkamy, to albo ja, albo Romno zginąć musi.

Niestety, ona zginęła! Pewnego wieczoru, kiedyśmy spoczywali obozem w jakimś lesie, było to w lecie, w prześliczny zmrok letni, zjawił się Romno i Mokryna na czele bardzo licznej bandy. Pamiętam, bo dziś jeszcze najmniejszy szczegół tego strasznego wieczoru stoi mi przed oczami, jak gdyby to wczoraj się stało, Romno poszedł wprost do matki, która siedziała przed namiotem

i patrzała na moją swawolę z innemi dziećmi. Gdy go zobaczyła, zerwała się na równe nogi, blada jak chusta, straszna.

— A cóż Czandala — syknął Romno — ja tu teraz król!

Matka nic na to nie odrzekła, tylko dobyła sztyletu, który zawsze nosiła za pasem i rzuciła się na Romna z głośnym krzykiem. Widziałem jak migło się przy niepewnym brzasku dnia brzeszczoto sztyletu... Byłem pewny, że Romno zginął! Ale on odskoczył w bok i w jednem mgnieniu oka, olbrzymim młotem kowalskim, który trzymał w ręku, uderzył matkę w głowę. Jękła i padła ze strzaskaną czaszką na ziemię...

Wszystko to widziałem na własne oczy. Miałem już wówczas pięć do sześciu lat wieku i byłem chłopcem pełnym męskiej energii. Zobaczywszy upadającą matkę, krzyknąłem okropnie, w oczach mi się zaćmiło i nie wiele myśląc, miotany żalem i rozpaczą, wyrwałem z rąk trupich matki sztylet, rzuciłem się jak szalony na Romna. Ale cóż ja dziecko mogłem zrobić takiemu mężczyźnie? Uśmiechnął się pogardliwie, kopnął mię nogą tak silnie, że padłem o kilka kroków jak długi i wskazując na mnie, rzekł:

— Osmagać to szczenię, a dobrze!

Zbito mię niemiłosiernie — sama Mokryna mię biła. Odtąd w obozie byłem ostatnim, ja, który dotąd byłem pierwszym. Używano mię do naj-

podlejszych posług, katowano za najmniejszą winę, za uśmiech, za słowo niebacznie wyrzeczone, głodzono...

Takie życie pędzę od lat kilku...

W tem miejscu Cynga przerwał nagle i począł nadsłuchiwać. Wśród ciszy leśnej wiatr przynosił daleki jakiś huk, niby grzmot, niby trzask piorunów.

— Co to, grzmi?... — zapytał.

I począł znów słuchać.

ROZDZIAŁ XIV.

W jaki sposób Janek i Cynga zaopatrzyli się w konie i broń huzarską.

Cynga wsłuchując się w ów daleki huk i grzmot, który mu przerwał zajmujące opowiadanie przygód swej młodości, nie mógł w żaden sposób pojąć, coby znaczył i skądby pochodził ten daleki, ponury huk. Spojrzał na niebo, było czyste, bezchmurne, szafirowe; w całej naturze leżała niczem niezamącona cisza — lekki tylko wietrzyk chwiał szczytami drzew i przynosił ów tajemniczy grzmot coraz silniejszy.

Cynga począł widocznie tem się niepokoić.

— Co to być może? — szeptał.

Nakoniec wdrapał się ze zręcznością kota na jedno z najwyższych drzew lasu, żeby się przyjrzeć okolicy. Długo rozglądał się tam na wszystkie strony i Janek z pewnym wewnętrznym niepokojem śledził jego ruchy. Czuł w sobie jakąś bojaźń, coś mu szeptało do ucha: uciekaj! uciekaj!

Wreszcie Cynga zsunął się z drzewa.

— No i cóż? — spytał Janek.

— Alboż ja wiem — odrzekł Cynga zafrasowany jakoś — okolica leśna, nic dojrzeć nie można. Zdaje mi się jednak, że w tamtej stronie — i wskazał ręką na północ — widać za lasem wielkie kłęby dymu, jakby się coś paliło.

— Może się gdzie biją? — szepnął Janek wstrzymując oddech i wsłuchując się w coraz silniejszy grzmot.

— Ja to sam myślałem i zapewne tak jest! — mruknął Cynga a potem dodał z niechęcią — nieszczęście i basta!

— Dlaczego nieszczęście?

— A bo jeżeli się biją, to na naszej drodze. Tylko w tamtą stronę możemy się udać, żeby się wymknąć z rąk bandy. Chciałem dostać się do Warszawy, gdzie dla nas byłoby najbezpieczniej i gdzieby nas nawet buldog Romna nie znalazł. Warszawa to lepiej niż najpiękniejszy las. A teraz co? teraz bitwa zagrodziła nam drogę i Austryacy zapewne włóczą się wszędzie, a przecie dla ciebie nie byłoby zbyt przyjemne spotkanie się z nimi. Musimy więc bardzo ostrożnie posuwać się naprzod, nakładać drogi i tracić dużo czasu, bo pozostać tu dłużej nte możemy, gdyż lada...

Nagle urwał, roztworzył szeroko oczy i usta, słuchał długo, potem rzucił się na ziemię i przy-

łożył ucho do ziemi. Gdy się podniósł i usiadł na ziemi, był blady, bardzo blady.

— Co ci jest Cyngo? — spytał Janek przestraszony wyrazem twarzy swego towarzysza.

— To mi jest — odrzekł tenże ponuro patrząc — że Romno nas ściga, jest już na naszym tropie...

Znowu przyłożył ucho do ziemi i szeptał:

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć koni... pędzą wyciągniętym kłusem... będą tu najdalej za pół godziny. O! nie omyliłem się, to oni.

Zerwał się żwawo, a twarz jego choć blada jeszcze, ale była pełna stanowczej energii. Skoczył do pasącego się spokojnie konia, okiełznał go, opatrzył czy kopyta ma dobrze owiązane szmatami i zawołał:

— Dalej na koń! trzeba uciekać i tak za długo tu siedzieliśmy. Niech się co chce stanie, musimy wprost jechać, choćby w sam środek Austryaków. Wolę całe piekło spotkać niż Romna!

I skoczył na konia a za nim Janek. Odrazu ruszyli z kopyta. W parę minut wydostali się na drogę, którą pognali wprost, nie zważając na to, że prowadziła ona przez pola i że skutkiem tego byli widzialni na znaczną przestrzeń. Gdy pod tym względem Janek zrobił uwagę swemu towarzyszowi, że możeby lepiej było nie opuszczać lasów, ten odrzekł:

— Teraz nam wszystko jedno. Są na naszym

śladzie i wszędzie nas znajdą. Cała nadzieja w szybkości konia, który nas dźwiga dwóch, nie mamy więc czasu na nakładanie drogi — uciekajmy i koniec!

Pędzili więc dalej, a choć wkrótce przyszło im przez wieś przejeżdżać, nie zważali na to. We wsi spotkali wielki ruch i wyraźny popłoch. Kobiety z dziećmi uciekały ku lasom — chłopi ładowali na fury swe sprzęty i także uciekali. A jeden widząc pędzących naszych bohaterów, wołał na nich:

— Nie jedźcie tam, tam się biją!

Ale Cynga nic na to nie odrzekł, bo i cóż miał odrzec, tylko gnał dalej. Huk z każdą chwilą się wzmagał, ponury, posępny, rozlegający się po polach i lasach daleko. Kłęby czarnego dymu unosiły się za lasem, buchając jak z komina — czasem nawet dojrzeć było można śród nich krwawe płomyki ognia. Widocznie bitwa wrzała na dobre i to bitwa niezbyt oddalona.

Janek drżał z obawy, żeby nie wpaść w sam środek Austryaków i nie dostać się w ręce okropnego rotmistrza von Lampe i szyderskiego Franca, ale z drugiej strony jeszcze bardziej się obawiał cyganów. Przeżegnał się więc, zmówił cichą modlitwę i zdał się na wolę Bożą.

Dzielny koń Romna tymczasem rwał szybko. Po porannej gonitwie odpoczął sobie i teraz z pier-

wotną rzeźwością i siłą pędził. Jednak Cynga nie bardzo mu dowierzał.

— Byle nie ustał kary — szepnął — to wszystko będzie dobrze. Ach, gdyby dostać można skąd drugiego konia!

Było to oczywiście próżne życzenie, a teraz trzeba było jechać dalej we dwóch na jednym wprawdzie dobrym koniu, ale ranną podróżą zmęczonym i który pędząc ciągle galopa wśród skwarnego dnia, na upale słonecznym, nie nakarmiony dobrze, nie mógł długo wytrzymać. To też Cynga z niepokojem oglądał się co chwilę za siebie.

Nakoniec wjechali w las, na radość Janka, który czuł się tutaj bezpieczniejszym jak w szczerem polu. Huk strzałów armatnich był coraz bliższy, coraz wyraźniejszy. Nie ujechali przez las i czterdziestu kroków, gdy ujrzeli na środku drogi leżącego z rozprutym brzuchem konia a pod nim nieżywego ułana polskiego. Leżał ten nieszczęśliwy żołnierz z gołą głową strasznie porąbaną i zlaną krwią. W jednej ręce trzymał jeszcze silnie ściągnięte lejce konia, w drugiej kawałek drzewca połamanej lancy, widocznie w upornej obronie swego życia.

Janek i Cynga mimowolnie zatrzymali się, zwłaszcza że koń ich na ten straszny widok odskoczył w bok. Cynga, który przez chwilę poszamotał się z przestraszonym koniem, nagle zeskoczył z niego i pobiegł do ułana.

— Cynga, co ty chcesz robić? — zapytał zdziwiony tem Janek.

— A co? — mruknął Cynga — temu biedakowi szabla i pistolety już niepotrzebne, a nam się przydać mogą.

I ze zwykłą sobie szybkością odwiązał od trupa szablę, przypasał ją sobie, wyjął pistolety z olstrów, obejrzał czy nabite i wsadził za pendent szabli. Potem odpiął ładownicę ułanowi, otworzył czy są naboje, zarzucił sobie na plecy i tak uzbrojony, śmiesznie wyglądając z wlokącym się po ziemi pałaszem, skoczył na konia, mówiąc:

— No, teraz się czuję bezpieczniejszym. Dwa strzały, to dwoch cyganów z pięciu mniej — a potem szabla do ręki i niech spróbują mię brać. Gdyby się tylko jeszcze dla ciebie paniczu Janku znalazł drugi koń i drugie takie uzbrojenie, to moglibyśmy się wrocić do tego samego lasu, gdzieśmy rano spoczywali i bezpiecznie siedzieć. No, wio!

Ruszyli znowu galopem. Blaszana pochwa szabli dzwoniła uderzając się o nogi Cyngi, a on zdawał się być dumnym z takiego uzbrojenia.

— Już to we mnie jest krew mego ojca — mowił wyszczerzając zęby — konik i szabla to raj. No no, niechno ja tylko dorosnę, a zobaczysz paniczu Janku, jaki śliczny będzie ze mnie ułan.

Wtem dobiegł ich uszów smutny, żałosny jęk.

Patrzą, a na skraju drogi, pod krzakiem, leży drugi ułan polski i ręką przytrzymuje krew toczącą mu się z piersi. Zobaczył on naszych bohaterow, ktorzy się zatrzymali zdziwieni i przerażeni tym widokiem i zawołał, słabym, widocznie z wysiłkiem dobywanym głosem:

— Na rany Chrystusa Pana, dajcie mi choć kropelkę wody — usycham z pragnienia! Bóg wam to wynagrodzi, ratujcie mnie!

Błagał biedak tak żałośnie, że Janek nie zastanawiając się ani na chwilę, zeskoczył z konia i pobiegł do rannego. Cynga, dziki cygan, bez uczuć litości w duszy, myślał widocznie inaczej o przyczynie, dla której Janek zszedł z konia, gdyż zawołał:

— Paniczu! paniczu, a zabierz mu oba pistolety i szablę!

Usłyszał to ranny ułan i widocznie przerażony tem, rzekł błagalnie:

— O! nie zabieraj mi młody paniczu broni, to cała moja nadzieja. Pandury włóczą się na tyłach wojska, mogą napaść na mnie i zamordować. Z bronią, choć jestem ranny, przynajmniej drogo sprzedam me życie. Nie zabieraj mi więc broni!

— Nie lękaj się żołnierzu — zawołał Janek — nic ci nie wezmę.

Cynga słysząc to, zapytał z widocznem zdziwieniem:

— A więc pocóż paniczu zszedłeś z konia?

— Żeby poratować tego nieszczęśliwego — odrzekł Janek.

— Szaleństwo! — mruknął z gniewem Cynga — jemu już nic nie pomoże, a nas dogoni Romno. Jeno patrzeć jak przylecą. Spiesz się, siadaj na konia i uciekajmy.

— Cyngo! — zawołał Janek — jak ci się podoba... możesz jechać, ja zaś zostanę tutaj i poszukam wody dla tego biednego żołnierza.

— Ale... — przerwał Cynga.

— Nie mów nic — rzekł Janek stanowczo — gdyż tak zrobię jak powiedziałem. To jest mój obowiązek i wypełnię go. Zresztą nie mamy się czego teraz obawiać cyganów. Ten ułan w razie gdyby napadli na nas, pożyczy mi na chwilę swych pistoletów i szabli, prawda?

— Pożyczę, pożyczę!

— A więc możesz być spokojny.

Cynga ruszył ramionami i niespokojnie począł się oglądać, błagając Janka żeby się spieszył. Ten ostatni pytał ułana:

— Czy nie wiecie żołnierzu, gdzieby tu była w pobliżu woda?

— Owszem wiem... niedaleko... i gdyby nie rana i nie upływ krwi, dawnobym się tam był zawlókł... idź paniczu prosto w las, może poł stajania, a znajdziesz staw... naczerp mi wody, oto

w ułankę moją. Czekajno paniczu, chcesz mieć broń i konia... to ci powiem gdzie je znajdziesz... ale, przynieś mi wody prędko, bo czuję, że mi się słabo robi.

Janek nie dał się dwa razy prosić. Zwawo schwycił ułankę i pobiegł we wskazanym kierunku. Wkrótce znalazł staw, naczerpał wody i gdy ją przyniósł, ułan prawie połowę duszkiem wypił — w drugiej połowie zmaczał szmatę i przykrył nią ranę swoją, a potem rzekł do Janka:

— Niech ci to Bóg nagrodzi paniczu, przywróciłeś mi życie. Na tej spiekocie byłbym wkrótce wyzionął ducha. Ale... ale... broń widać że wam potrzebna, a twój towarzysz, czarny jak cygan, kręci się niespokojnie czegoś na koniu...

— Jakże się nie mam kręcić, kiedy lada chwila mogą nas dopędzić...

— Ano — rzekł na to ułan — jedźcie więc obadwa w tę stronę. O kilkadziesiąt kroków znajdziecie tam małą łączkę, na której leży kilka uzbrojonych trupów huzarów austryackich... Mają oni nawet karabinki kawaleryjskie, co wam się lepiej przyda jak pistolety. Może znajdziecie tam jeszcze ich konie, bo jakem ja jechał, to jeszcze były, właśnie chciałem je zabrać, gdy mię nagle obskoczyli ci rabusie, Pandury...

— Jedźmy paniczu poszukać tych huzarów... ułan dobrze radzi! — wołał Cynga, zjeżdżając z drogi w las.

Janek puścił się za nim pieszo i w istocie, o kilkadziesiąt kroków od drogi znaleźli małą łączkę, stratowaną mocno, zasłaną kilkunastu trupami ludzi i koni, pełną krwi i rozrzuconej dokoła broni, szabel, lanc i kołpaków huzarskich. Ale co ich najwięcej ucieszyło, to widok trzech całych i zdrowych koni, zupełnie okulbaczonych, pasących się spokojnie między trupami. Cynga zaraz wybrał dwa i siadając na jednego, a drugiego dając Jankowi, rzekł do niego:

— No, teraz Romna się nie boję! Dalej paniczu, weź szablę, karabinek, ładownicę i siadaj na konia.

Janek ze wstrętem pozabierał, strasznie częstokroć porąbanym trupom broń i dosiadł dzielnego kasztanka. Ruszyli z powrotem — Cynga prowadził konia Romna za cugle.

— Czemu nie puścisz go? — pytał Janek.

— Puszczę, ale na drodze. Jak Romno go spotka, będzie myślał, żeśmy wpadli na Austryaków albo poginęli i przestanie nas gonić. Zresztą powiadam, teraz drwię sobie z całej bandy cyganow.

Ledwie wyrzekł te słowa, a właśnie wjeżdżali

na drogę, gdy w pobliżu ich zadudniała ziemia, rozległ się głośny krzyk i nasi bohaterowie ujrzeli gromadę pędzących co koń wyskoczy cyganów, a na czele ich Romna z podniesionym batogiem w ręku.

ROZDZIAŁ XV.

Bitwa pod Raszynem — bohaterski acz mimowolny w niej czyn Janka.

Cynga i Janek ujrzawszy tak nagle bandę swych prześladowców, lecącą ku nim co koń wyskoczy, zrazu skamienieli. Cyganów było pięciu, jak to dobrze policzył Cynga w lesie, wsłuchując się w odgłos ziemi, a na ich czele pędził Romno z batogiem w ręku, którym groził dwom bohaterom. Za nim pochylony na koniu gnał jeden z cyganów i trzymał w ręku długi sznur, podobny do stryczka, zwany *lasso*, którego używają Amerykanie i Węgrzy do łapania bydła. Widocznie skradał się on, żeby taki stryczek zarzucić na Janka lub Cyngę i ściągnąć go z konia. Romno grożąc batogiem krzyczał coś po cygańsku, czego Janek nie rozumiał — a cygan z owem lasso przysunąwszy się do naszych znajomych, którzy wciąż stali nieruchomi na drodze, na odległość może dziesięciu kroków i nagle z niesłychaną zręcznością podniósł

się na koniu, wyprostował w strzemionach, z głuchym świstem rozwinął stryczek i już miał uchwycić nim bliższego Janka, gdy rozległ się niespodzianie strzał, cygan zachwiał się, rzucił parę razy rękami w powietrzu, upuścił stryczek i padł śmiertelnie ugodzony na ziemię.

Wszystko to stało się w jednej, krótkiej chwili, prędzej niż potrzeba czasu na przeczytanie tych wierszy. Nagły ten strzał, wymierzony przez rannego ułana, który odwdzięczając się Jankowi za podaną mu wodę, ocalił mu życie, przeraził na chwilę cyganów, a wrócił przytomność Cyndze i Jankowi. Pierwszy podniósł się na siodle, wydobył pistolet z olstra i wypalił... Poczem obracając się do Janka i widząc, że ten ściąga z pleców karabinek, żeby także strzelać, zawołał:

— Nie strzelaj, niema na to czasu, dobądź szabli i... w nogi!

Poczem uderzył konia i pognał naprzód, a Janek za nim. Dzielne konie huzarów węgierskich rwały jak wicher — ale i cyganie opamiętawszy się, rozwścieczeni zabiciem jednego ze swoich, którego zostawili na drodze, ostatkiem sił gonić poczęli uciekających. Cynga obróciwszy się, ujrzał, że koło Romna, który wciąż pędził na czele, posuwało się teraz dwóch cyganów z lasso w rękach, które wiedział jak straszną jest bronią. Dlatego też naglił swego konia i zachęcał Janka do pospieszania, wołając:

— Uciekajmy! uciekajmy! te szelmy gotowe nas jak psów połapać.

— A gdybyśmy się odwrócili i uderzyli na nich z szablami? — szepnął Janek — są bezbronni.

— To się na nic nie zda, mruczał Cynga — jesteś za młody, żebyś taką ciężką szablą mógł co zrobić. Pierwszy lepszy kij ci ją wytrąci — wreszcie nim się do nich zbliżymy, już będziemy ściągnięci z koni jak psy na stryczkach... Nie są też oni bez broni, mają sztylety, którymi umieją dzielnie władać. Uciekajmy! uciekajmy!

Więc uciekali. Ale ciężkie konie huzarskie, zwłaszcza na piasczystej drodze i wśród skwarnego dnia, nie mogły długo uciekać przed lekkimi i wytrwałymi konikami cygańskimi. Zbliżali się oni powoli do chłopców, ale ciągle... Cynga nawet raz już słyszał straszny świst lassa koło uszów i tylko nagłe pochylenie się ocaliło go od złapania.

Janek, który w tej szalonej gonitwie zachował całą przytomność umysłu i energią — i ściskał z gorączkowym zapałem rękojeść szabli, zauważył, że Cynga jest śmiertelnie blady, że rozpaczliwie usiłuje przyspieszyć bieg ciężkiego, zapasionego konia huzarskiego.

Tymczasem jedni zajęci własnem ocaleniem, drudzy zemstą, nie zwracali uwagi na to, że huk wystrzałów był coraz bliższy i donioślejszy, że wiatr przynosił dym prochu i okrzyki walczących.

Nakoniec wyjechali z lasu i przed oczami ich roztoczył się straszny, ale zarazem piękny widok.

Na obszernej równinie, której jedynym wydatnym punktem była wieża kościołka Raszyńskiego, kryta blachą i otoczona kłębami dymu palącego się miasteczka, rozwinęły się jak dwa olbrzymie węże, dwa wojska, ziejące na siebie ogniem i pociskami. Oba wojska były bokiem zwrócone do Janka i Cyngi i z dwóch, polskie bliżej. Huk, grzmot ponury dział, chmury dymu włóczące się i owijające sobą walczących, dopełniały tego obrazu straszliwego...

Była to sławna po wsze czasy bitwa pod Raszynem, stoczona w dniu 19 kwietnia 1808 r. Wojskami Księstwa Warszawskiego dowodził książę Józef Poniatowski — austryackiemi arcyksiążę Ferdynand d'Este. Na prawem skrzydle polskiem, t. j. z tej strony, z której Janek przybywał, dowodził Jenerał Kamiński — środek w Raszynie zajmowali sprzymierzeńcy polscy, Sasi pod jenerałem Dyhernem — lewe skrzydło w Falentach, a raczej w sławnym lasku Falenckim, miał pod sobą pułkownik Godebski. Główna, największa bitwa toczyła się o ten lasek.

Właśnie walka ta była w najwyższym swoim rozwoju, gdy Janek i jego przyjaciel wpadli jak szaleni w swej ucieczce przed cyganami na prawe skrzydło polskie. Tutaj Polaków od ich wroga oddzielała mała ale błotnista rzeczka Rawka, przez



Odwinął się i ciął z całej siły Austryaka.

którą przeszła masa kawaleryi austryackiej, huzarów, kirasyerów, Pandurów i zamierzała uderzyć na prawe polskie skrzydło. Przeciw nim wysłał jenerał Kamiński wszystką jazdę polską, jaką miał pod ręką. Właśnie trąbki zagrały do ataku, gdy Janek, a za nim Cynga wypadł na plac boju i oszołomiony zrazu, zapomniawszy o grożącem mu w tyle niebezpieczeństwie, mimowolnie wstrzymał konia i patrzał na straszny obraz roztaczający się przed nim.

W tejże chwili pierwszy pułk strzelców konnych polskich, w wyciągniętej linii, z dobytemi szablami posuwał się całym pędem przeciw huzarom austryackim. Trąbki zagrały do ataku i kiedy to posłyszy ich odgłos koń Janka, jak się nie porwie, miły Boże! jak szalony ruszył z kopyta ku długiej linii szaserów polskich. Janek nie mógł go powstrzymać, wreszcie nie chciał. Owionął go zapach prochu, rozgrzał, czuł że mu wszystka krew gra w żyłach w takt pobudki wojennej. Ledwie miał czas obejrzeć się na Cyngę, który także ruszył naprzód, ale nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy uderzony kulą padł na ziemię... O cyganach nie było ani słychu — zapewne zatrzymali się ostrożnie w lesie.

Janek nie miał czasu i nie mógł ratować biednego swojego przyjaciela. Ze łzami w oczach, pełen wściekłego gniewu, postanowił pomścić się na Austryakach śmierci swego przyjaciela, lub zginąć... Uderzył więc kilka razy płazem swej szabli

konia i tak już lecącego jak wicher i sam nie wiedząc jakim sposobem znalazł się na czele pędzących do ataku szaserów polskich. Ożywiony jakimś niezwykłym zapałem i bohaterską prawie siłą, podniósł swą ciężką szablę do góry i wstrząsał nią jak stary żołnierz. Właśnie w tej chwili pędzący do ataku szaserzy przebiegali przed świetnem gronem oficerów, którzy stali na małem, piasczystem wzgórzu...

Janek spojrzał na to grono. Mignęła mu się tylko przed oczami wśród bojowego dymu i kurzu, bohaterska twarz księcia Józefa, jego wielkie, czarne oczy błyszczące ogniem i zapałem — słyszał, głośny, jednobrzmiący okrzyk jazdy polskiej i nagle ujrzał się tuż, tuż, prawie twarz w twarz z rotmistrzem von Lampe...

Widział go doskonale, jego szydersko uśmiechnięte usta, jego kocie wejrzenie i czerwone faworyty. Wielki kołpak chwiał mu się na głowie, a dolman rozwiany pędem unosił się w powietrzu, ukazując czerwony, suto złotem szamerowany mundur. Leciał na ogromnym, jak śnieg białym koniu i potrząsał szablą krzycząc na swoich:

— *Vorwärts!... Vorwärts!...*

Jankowi przypomniało się w tej chwili wszystko, co ucierpiał od tego szkaradnego rotmistrza, ogarnęła go wściekłość na widok jego szyderskiego uśmiechu i nie wiele myśląc odwinął się i ciął z całej siły ciężkiem swem szabliskiem na odlew

Austryaka po twarzy. Krew bryzgnęła jak z fontanny, rotmistrz zachwiał się na koniu, rozkrzyżował ręce i zawoławszy:

— *Herr Jesus!* — padł z konia na ziemię.

A tu już, ze strasznym łoskotem i hukiem, jak dwie gromonośne chmury, zwarli się huzarzy z szaserami i biedny rotmistrz zatratowany został na nic. Janek zresztą nie myślał o tem i nic go to nie obchodziło. Zginął szyderski rotmistrz von Lampe i bardzo słusznie. Ta śmierć to kara, okropna kara wymierzona przez Boga słabą ręką dziecka na najeźdźcy.

Powtarzamy, Janek nie miał czasu nad tem wszystkiem się zastanawiać. Koń uniósł go jak szalony naprzód, w sam środek głębokiej linii huzarskiej, i Janek nic przed sobą i około siebie nie widział, tylko migające mu się w oczach kołpaki i czerwone, złotem wyszywane mundury. Oślepiony tem wszystkiem, oszołomiony, prawie nieprzytomny, leciał naprzód, tnąc na prawo i lewo szablą. Wielokrotnie czuł jak uderzał w ciało, jak szabla jego więzgła i jak potem krew z niej ciekąca oblewała mu twarz. Słyszał za sobą chrzęst i brzęk szabel, krzyki, jęki, przekleństwa i leciał naprzód. Raz tylko przebiegł mu drogę jakiś huzar i Janek uczuł lekkie uderzenie w lewe ramię, ale nie uważał na to w zapale bitwy, tylko pędził rąbiąc dokoła siebie, dopóty, dopóki nie ujrzał się prawie sam, na polu, nad błotnistym brzegiem rzeczki.

Tu zatrzymał konia i spojrzał dokoła. Przed nim toczyła swe mętne wody spokojna rzeczka, a za nią wznosił się tuman kurzu i pędziła na pomoc Austryakom nowa kolumna jazdy, którą z boku, niedaleko od Janka stojące trzy armatki polskie smagały ogniem i żelazem. Na stratowaną koło Janka niwę kule padały jak grad, świszcząc przeraźliwie i wyrzucając pod uderzeniem ziemię i piasek w górę. W tyle wrzała jeszcze bitwa kawaleryi. Huzary i szasery łamali się ze sobą i przełamać się nie mogli.

Ale Janek dojrzał biegnących z boku ułanów polskich. Rwali oni pędem z lancami do ataku, przy których warczały trójbarwiste chorągiewki, a amarantowo-białe kitki ich ułanek wiatr i kule całowały...

Janka zachwycało to wszystko. Potem spojrzał na siebie — był bez czapki, obsypany kurzem, obryzgany błotem, oczerniony prochem, zlany krwią. Z lewego ramienia sączyła mu się krew, widocznie raniony był przez tego huzara, który mu zabiegł drogę. Zrazu przeraził się tem nieco, zresztą na widok krwi niedobrze mu się zrobiło.

Ale odzyskał zaraz dawne męstwo, ujrzawszy, że huzarzy poczynają uciekać za rzekę, zrazu pojedynczo, potem gromadnie, a szaserzy jadą im na karku i rąbią nielitościwie, a ułani kłują ich lancami aż miło!

— Ejże! — szepnie Janek do siebie — wjadę i ja na nich!

I poprawił się na kulbace, skrócił cugle i zamierzał już puścić się za huzarami, gdy nagle spojrzy, a tu z boku sadzi wprost na niego, na wielkim karym koniu jakiś huzar, z podniesioną do góry szablą. Widzi Janek olbrzymi jego wzrost, ogromne jak wiechcie i czarne wąsiska, i na straszne zdumienie poznaje w tym huzarze Franca. Maleńkie oczka świecą mu się jak świeczki, wąsiska wyszwarcowane sterczą jak szczecina — jedzie z szabliskiem w garści, patrzy na Janka i krzyczy:

— Ach, donner-wetter! to ty mala Polaka — nu, ja ciebie zjem! ty miala wisieć, nu ja ciebie zasiekam.

I podnosi do góry szablę i spina konia ostrogami, który w wielkich szczupakach sadzi wprost na Janka.

Ten pomyślał sobie:

— No, to już mój koniec. Gdzież ja mogę z tym olbrzymem walczyć, przytem osłabłem zupełnie. Niech się dzieje wola Boża!

I był gotów na śmierć. Wtem przypomniał sobie, że ma na plecach nabity karabinek. Żwawo zerwał go i kiedy Franc był już w odległości jakich pięciu kroków, zmierzył się i już miał wypalić prosto w piersi Niemca, gdy ten zawołał przerażonym głosem:

— Pardon mala Polak, pardon... nie strzelać, ja krzyczeć pardon!

I stanął i spuścił szablę na dół. Janek nie odejmując karabinka od oczów, zawołał:

— Rzuć szablę na ziemię!

Franc posłuszny rzucił.

— Teraz zejdź z konia.

Franc zeszedł. Janek kazał mu iść ze sobą i ruszył ku stronie, gdzie widział przed chwilą księcia Józefa. Ale nie ujechał daleko, gdy nagle uczuł wielki ból w lewem ramieniu, zamroczyło mu się w oczach, zachwiał się i upadł z konia bez czucia na ziemię.

ROZDZIAŁ XVI.

Janek otrzeźwiony przez Franca, zawiązuje z nim ścisłą przyjaźń.

Franc zobaczywszy upadającego z konia Janka, mruknął do siebie po niemiecku:

— Nu, nu, mógłbym teraz uciec i zostawić tutaj tego małego Polaka — panowie ułani są daleko, gonią naszych i biją, przeklęte Polaki! Nu, stary Franc, jakże, uciekniesz czy nie?

Stanął, podparł ręką brodę i patrząc na bladego, zlanego krwią Janka, prawił do siebie:

— Uciec, byłoby to dobrze, ale co mi z tego przyjdzie! Czy nie lepiej jest w niewoli? To będzie wojna długa, uparta i krwawa, ci Polacy biją się jak szatany, jeszcze mię gdzie zarąbią, a chociem stary, miłe mi jeszcze życie! Nu, a w niewoli? w niewoli będę sobie siedział spokojnie jak u Pana Boga za piecem, dadzą jeść, dadzą mieszkanie, wyśpię się, wyleżę, a przytem ten mały Polak darował mi życie, trzeba żeby go jenerałowie wyna-

grodzili za to, że mnie wziął do niewoli. Nu, niema co, trzeba go otrzeźwić, ranę mu opatrzyć.

Wyrzekłszy to, Franc mrucząc i ruszając strasznymi wąsami, podniósł Janka, wsadził na konia i ostrożnie podwiózł w gęste krzaki nad brzegiem rzeki. Było tu spokojnie i bezpiecznie. Bitwa po utarczce kawaleryjskiej przeniosła się stąd na środek i na lewe skrzydło — tutaj zaś zupełnie ucichła.

Spokojny więc pod tym względem Franc, zdjął z siebie dolman, rozesłał go na ziemi, ułożył na nim wygodnie zemdlonego Janka, rozpiął mu ubranie i obnażył zupełnie dość głęboko i w paru miejscach poranioną lewą rękę. Potem od kulbaki swego konia odpiął blaszany kociołek, zaczerpnął wody, obmył rany, wyjął z kulbaki jakieś gotowe plastry i przyłożył do ran, tak że krew przestała się sączyć. Dokonawszy tego, otrzeźwił Janka, pryskając nań wodą.

Chłopiec otworzył oczy i ujrzawszy nad sobą pochylone groźne oblicze Franca, przestraszył się.

— Gdzie jestem?... co pan ze mną robisz panie Franc? — zawołał siadając.

— He! he! he! — zaśmiał się stary huzar — mala Polak juz zdrofa, to jest dobrze, bardzo dobrze. Franc kontenta, bardzo kontenta. Niech się mala Polak nie stracha, Franc dobra czlofik... Mala Polak darowala mu życie, nu to i Franc mu darowala. Czy mala Polak jest już zdrofa?... He!

he! he! — śmiał się, widząc że Janek zerwał się na równe nogi, a rumieniec poczynał mu występować na bladą przed chwilą twarzyczkę.

— Zdrów jestem — mówił Janek oglądając się, czy ma broń przy sobie, bo ciągle nie dowierzał Francowi — ale gdzież ja jestem?

— Nu, gdzie jestem? Na polu... Czy mala Polak slychala, jak tam pif, paf!... bitwa, to fielka bitwa. Nu, niech mala Polak siada na koń i marsz!

Janek czując się dość silnym, jednym skokiem siadł na konia i osadziwszy się dobrze w siodle, najprzód chwycił za karabinek, gdyż ciągle nie dowierzał huzarowi i w razie niebezpieczeństwa postanowił drogo sprzedać swoje życie. Nie uważał jednak tego, że Franc był bezbronny.

— Iii — syknął huzar — po co mala Polaka bierze ten paskudny rusznica. Franc jest bezbronna, o! bez szabli nawet. Franc chce jechać do niewoli i niech go mala Polaka profadzi.

Janek istotnie spostrzegł, że niema się czego obawiać, rzekł więc:

— Dobrze, jedźmy, ale jeżeli Franc mię zdradzi, to mu kulkę poślę...

— Zdradzi? fi! Franc nikogo nie zdradzila jak żyje. Franc mogla zabić mala Polaka, kiedy spadla z konia, a nie zabila. Franc zawiozla go tu na trawę, opatrzyla mu rana, wodą zlala gębę... nu?

— Tak uczyniłeś poczciwy Francu? — zawołał

Janek — dzielny z ciebie człowiek! podaj mi twą rękę, niech ją uścisnę.

Ale Franc zamiast podać jedną rękę Jankowi, roztworzył szeroko ramiona, w które gdy się rozrzewniony Janek rzucił, stary huzar o mało go nie udusił, tak go ściskał, tak całował. Popłakali się obydwa.

— Franc kocha mala Polaka — mówił huzar ocierając łzy, bardzo kocha taka dzielna chłopaka. Franc już za żadna pieniądza nie wróci do Niemców, Franc nie jest Niemiec — ja sem jestem Slowak! Niech Niemcy propadną! Franc nie opuści teraz mala Polaka, będzie jego sluga wierna, jak pies. Franc ma w trzosie trzy tysiąca reńskich i odda to mala Polaka, szeby używal. Tak, ja kochać mala Polaka.

I znowu się bił potężnie w piersi i ruszał groźnie wielkimi wąsiskami, a Janek ściskał go i całował.

Puścili się nakoniec naprzód, ominęli wojska i na tyłach spotkali się z pułkiem szaserów, który niedawno rozbił huzarów węgierskich. Dzielni żołnierze stali w wyciągniętym froncie, obryzgani krwią, zmęczeni, osypani pyłem i błotem, ale z postawą tak dzielną, tak waleczną, że aż dusza rosła patrząc na nich. Przed frontem, na świetnym karym koniu stał książę Józef otoczony błyszczącym od srebra sztabem i przemawiał coś do wiarusów. Donośnemu, czystemu jak dźwięk srebra jego gło-

sowi towarzyszył ponury ryk dział i grzechot karabinowego ognia — błyszczącą jego ułankę z amarantowo-białemi piórkami otulał dym prochowy i całował wietrzyk wiosenny.

Kiedy wyciągnięta linia szaserów rozgrzana jeszcze świeżym bojem i słowami wodza, zobaczyła Janka, cała jednomyślnym zagrzmiała okrzykiem:

— Niech żyje młody bohater! niech żyje! niech żyje!

I jak gdyby na dane hasło szeregi poczęły potrząsać szablami i bermycami w najwyższem ożywieniu i zapale.

Janek zdumiony tem przyjęciem, onieśmielony, z palącym rumieńcem na twarzy, zatrzymał się i nie wiedział co ze sobą zrobić. Widząc zwrócone na siebie wszystkich oczy, radby był pod ziemię się zapaść. Zato Franc zdjął z głowy swoj kołpak huzarski, wstrząsał nim, kłaniał się dokoła i krzyczał na całe gardło:

— Slawa mala Polaka! slawa! slawa!

Nakoniec książę Józef spiął konia i w szczupakach przypadł do Janka i rzekł wpatrując się w niego swemi wielkiemi, jak brylanty błyszczącemi oczami:

— Wiem o wszystkiem, widziałem cię, dzielny, bohaterski chłopcze!... Po raz to wtóry ojczyzna zaciągnęła u ciebie dług wdzięczności.

W tejże chwili spostrzegł Franca i zapytał:

— A to kto jest?

Franc wyprostował się jak struna, włożył kołpak na głowę i salutując ręką, rzekł:

— Ja Franc Sloboda, wachmistrz trzeciego huzarrenregiment princa Ferdynanda von Este.

— Ale co tu robisz?

— Ten mala Polak wzięla mię do niewoli... ja sem jeniec.

Kiedy to nie usłyszą szaserzy, miły Boże, jak znów krzykną:

— Niech żyje! niech żyje! krzyż mu dać, prosimy o krzyż! on będzie synem pułku! wiwat!

Janek uczuł ból w ramieniu, znowu mu przed oczami poczęły latać czarne płatki, osłabł i gdyby go nie powstrzymał Franc, byłby upadł z konia. Wszakże chłopiec i tym razem stracił przytomność.

ZAKONCZENIE.

I cóż wam kochani czytelnicy moi powiem więcej o losach bohatera naszej powieści? Zawieziony z krwawego raszyńskiego pobojowiska do Warszawy, z ogromnym rozgłosem o swym czynie, leczył się w prywatnym domu z ran, otoczony największą troskliwością. Poczciwy Franc nie odstępował go ani na chwilę. Janek długo chorował — do ran przyplątał się tyfus z przeziębienia i niewygód i były chwile, w których życie chłopca wisiało na włosku. Wówczas Franc rozpaczał i płakał jak dziecko, a gdy Janek przyszedł do siebie, to skakał stary huzar z radości po pokoju i wszystkich kogo spotkał, całował.

Janek przechorował cały czas tej z początku smutnej, a wkońcu świetnej i zwycięskiej

wojny — potem, gdy zawarto pokój, kosztem Warszawy oddany został do szkół i z czasem wyrósł na zacnego i zdolnego obywatela kraju, dając z siebie przykład energii, odwagi i poświęcenia.

KONIEC.